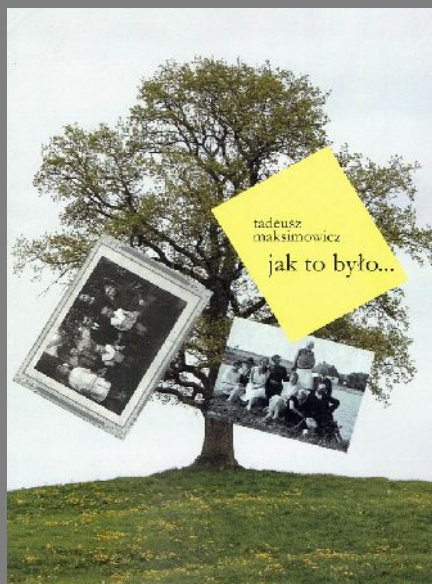




Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXIV Nr 8(276) Żelów, sierpień 2019

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Anabelli Conti, Zbigniewa „Ikony”

Kresowatego, Katariny Lavmel, Piotra Prokopiaka, Jana Stępnia, Leszka Żulińskiego

Andrzej Dębkowski – *Jak uwolnić się od strachu?*

Leszek Żuliński – *Kolejna emigracja?*

Józef Baran – *Spadając, patrzeć w gwiazdy*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Słowo i jego sens poetycki* oraz *Angielskie klimaty poetyckie*

Kazimierz Iwosse – *Złowróźbne sny. Humoreska*

Stefan Jurkowski – *Wiagrak*

Joanna Friedrich – *Krótko mówiąc. Sisu.*

Delagacja. Golden hour

Henryk Gała – *Niewiersze*

Andrzej Walter – *Zaginiony* oraz *Kilka słów z poczekalni losu*

Stanisław Stanik – *Władysław Nater*

Irena Nyczaj – *Tacy sami...*

Joanna Słodyczka – *Usłyszeć i spisać modlitwę natury*

Krzysztof T. Dąbrowski – *Znowu był słoneczny dzień*

Janusz Orlikowski – *W kwestii winy*

Danuta Sepuco – *Wiosna Poezji znowu za rok*
Witryna

Opinie, Noty, Poglądy

Informacje, Kronika

Szkice

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Zaginiony

Powieść szpiegowska bez prawdziwych szpiegów? Arcypoważne sprawy przedstawione w atmosferze kpiny czy groteski. Bohaterowie, w zasadzie z krwi i kości, ale przede wszystkim skłeceni na miarę czasów, ze zdrowego dystansu i odautorskiej implementacji świetnego, ba, wytrawnego humoru. To można wymyślić tylko w Czechach i chyba tylko po Czesku, tak jak powstał niegdyś czeski film pod tytułem „Nikt nic nie wie”, po którym faktycznie nikt nic nie wiedział i chyba nadal nikt nic nie wie.

Zagramy w otwarte karty. Stać nas przecież na to. Autor tej powieści – Egon Hostovsky to jakby postać z innego, właściwie nieistniejącego już dziś, świata. Świata, który się niby skończył, ale jego promieniowanie jak najbardziej i najrealniej odczuwamy mocno do dziś. Świata, którego konstrukcja, wbrew pozorom, narzuciła naszym czasom wizerunek i styl i wreszcie też świata, którego paranoja stanowi jakby załączek paranoi współczesnej, postindustrialno-niewolniczej. Wróćmy do faktów. (...) – **pisze Andrzej Walter na stronach 3-4.**

Jak uwolnić się od strachu?

Coraz lepiej nam w Europie... Coraz bliżej... Ale i coraz dalej zarazem. Nie może być inaczej, kiedy słucha się niektórych polityków – posłów i senatorów. Zresztą czemu się dziwić, przecież do parlamentu ktoś ich w końcu wybrał...

Coraz częściej znikają ważne znaczeniowo punkty odniesienia moralnego, ginie wiara, zastępowana bezkompromisowym broniem własnego przefermentowanego ego. Elementarne wartości człowiecze są upodlane. Nie jest to nic nowego i odkrywczego, gdyż tego typu zachowania opisywali już filozofowie ateńscy, i to kilka wieków przed narodzeniem Chrystusa. Cywilizacja nihilizmu sprowadza prawie wszystko do aksjomatu: – Tak naprawdę nic się nie stało! Wielkie to zagrożenie, bo zabija w ludziach potrzebę odwagi czystej – nieskażonej jadem ideologicznym – zachowań godnych człowieka humanizmu. (...) – **pisze Andrzej Dębkowski na stronie 15.**



Usłyszeć i spisać modlitwę natury

Coraz częściej sięgając po tomy poezji współczesnej człowiek zadaje sobie pytanie, co stało się z najpiękniejszym działem literatury, jakim jest liryka. Nie chodzi o formę wiersza, bo sposób zapisu stał się adekwatny do sposobu myślenia człowieka żyjącego obecnie. Ale czasem zastanawia, gdzie zagubił się urok i urzekająca estetyka utworów z definicji zaliczanych do tego działu aktywności literackiej. Czy jesteśmy skazani na naznaczone szpetotą abstrakcje lub zalew książek podobno poetyckich, które usiłują dosłownie opisać świat, z treścią zero kalorii? Na szczęście okazuje się, że poza głównym nurtem promowanym przez znane media i tworzonym przez portale społecznościowe kołom wzajemnej adoracji można znaleźć perełki, co do których nie ma się wątpliwości, że są liryką na naprawdę wysokim poziomie, wiersze piękne, przemawiające do wyobraźni i zarazem zmuszające do myślenia, z konkretnym poetycko ujętym przekazem. Niewątpliwie taką perłą jest tom poetki z Opolszczyzny Adrian Jarosz „Modlitwy malowane trzcina”. (...) – **pisze Joanna Słodyczka na stronie 19.**

Kronika

70 lat
Leszka Żulińskiego

70. rocznicę urodzin obchodzi **Leszek Żuliński** – polski krytyk literacki, poeta, publicysta, felietonista. Urodził się 25 sierpnia 1949 roku w Strzelcach Opolskich.

Debiutował na łamach prasy jako poeta w 1971 roku (w miesięczniku „Opole”), a jako krytyk – w rok później (w miesięczniku „Nowy Wyraz”). Jego książkowe debiuty to: tomik wierszy „Z gwiazdą w oku” (1975) i zbiór szkiców „Sztuka wyboru” (1979). Wydał do końca stycznia 2015 roku 29 książek, w tym 12 tomików poetyckich. Reszta to książki krytycznoliterackie lub związane tematycznie z kulturą.

Krytyka zdominowała jego aktywność pisarską; uprawia także publicystykę kulturalną i felietonistykę (stałe felietony oraz cykle artykułów prowadził lub nadal prowadzi w pismach „Fakty”, „Gazeta Kulturalna”, „Latarnia Morska”, „Sprawy Wschodnie”, „Sztuka dla Dziecka” oraz w „Aneksie”, dodatku kulturalnym do „Trybuny” i w nowojorskim „The Voice”). Ponadto ma na koncie setki wystąpień radiowych, dziesiątki – telewizyjnych, wstępy lub posłowania do wielu książek innych pisarzy, antologie i prace edytorskie.



© Fot. Andrzej Dębowski

Leszek Żuliński

Pracę zawodową rozpoczął – po ukończeniu studiów polonistycznych – w roku 1973 w ruchu edytorskim (KAW oraz LSW). Potem prowadził działy literackie w tygodnikach „Tu i teraz” (1982-1985), „Kultura” (1986-1987) i „Wiadomości Kulturalne” (1994-1998). Był sekretarzem redakcji miesięcznika „Literatura” (1987-1994), a w latach 2000-2010 pracował w TVP S.A. (gdzie przez pięć lat był sekretarzem redakcji TV Polonia). Współpracował z redakcjami bardzo wielu pism.

Jurorował i juroruje w wielu konkursach literackich; przez wiele lat był bliskim współpracownikiem warszawskiego Staromiejskiego Domu Kultury; od 1985 do 2009 roku zasiadał w kapitule Warszawskiej Premiery Literackiej. Od 1980 roku jest członkiem Związku Literatów Polskich, w latach 2003-2011 pełnił funkcję członka prezydium ZG ZLP, skarbnika ZG ZLP i wiceprzewodniczącego Komisji Kwalifikacyjnej.

Jego ważniejsze nagrody literackie to: Nagroda Pióra Czerwonej Róży (1985), Nagroda Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w

Poznaniu (1989), Nagroda im. Emila Granata (1993), Nagroda im. Klemensa Janickiego (1995), Wielki Laur XII Międzynarodowej Jesieni Literackiej Pogorza w Dziedzinie Krytyki (2002; powtórnie przyznany mu w roku 2011), a w roku 2008 jego tom „Ja, Faust” wyróżniono tytułem najlepszej książki poetyckiej roku na Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim w Poznaniu. Mieszka w Warszawie.

Zmarł
Andrzej Gronczewski

13 lipca br. zmarł **Andrzej Gronczewski** – historyk literatury polskiej, pracownik naukowy, profesor doktor habilitowany Uniwersytetu Warszawskiego, lektor Uniwersytetu im. J.W. Goethego we Frankfurcie nad Menem – 1986-1990); eseista i krytyk literacki, współredaktor wielu czasopism naukowych („Przegląd Humanistyczny”), literackich („Współczesność”, „Orientacje”, „Nowy Wyraz”, „Poezja”, „Pisarze.pl”) oraz współpracownik redakcji literackiej Polskiego Radia.

Urodził się 3 października 1940 roku. Debiutował w 1960 roku na łamach dwutygodnika „Współczesność”, tekstem z pogranicza prozy i literackiego eseju. W swojej twórczości łączył rozmaite, często sprzeczne, elementy. Prof. Andrzej Z. Makowiecki tak pisał o nim: „Pisarstwo krytyczne Andrzeja Gronczewskiego – bo mianem pisarstwa należy określić jego praktykę badawczą – rządzi się regułami zbliżeniami nauki o literaturze do literatury samej Gronczewski chce – i robi to znakomicie – tworzyć *literaturę o literaturze*.”

Jako krytyk literacki debiutował Andrzej Gronczewski rozprawą o twórczości Jarosława Iwaszkiewicza. To zaowocowało następnie obszernym wstępem do trzatomowego wydania tomu *Dzienników* tego pisarza (Czytelnik, 2007-2012). Ponad to Gronczewski opublikował wiele świetnych zbiorów esejów historycznoliterackich, szkiców i rozpraw literackich, takich jak: *Inicjały i testamenty*, *Wojna bez końca*, *Obiad na ruinach*, *Bardzo straszny dwór...*

Wiele miejsca swoich pracach literackich, krytycznoliterackich i esejistycznych poświęcił dorobkowi wybitnych poetów i prozaików polskich oraz wielkich pisarzy światowych, od Tomasza Manna, po Jarosława Iwaszkiewicza, Juliana Tuwima, Tadeusza Peipera, Juliana Przybosa, Mieczysława Jastruna, Wisławy Szymborskiej po młodszych i współczesnych autorowi pokoleniowo poetów, od Mirona Białoszewskiego, Zbigniewa Herberta, Ireneusza Iredyńskiego, Krzysztofa Gąsiorowskiego czy Zbigniewa Jerzyne.

Konkursy

Nagroda Literacka
MLP w Poznaniu

Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu zaprasza autorów, wydawnictwa, stowarzyszenia do nadsyłania książek poetyckich godnych Nagrody Literackiej 42. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego W Poznaniu.

Laureata poznamy podczas Uroczystej In-

auguracji 42. MLP 7 listopada 2019 roku w Sali Czerwonej Pałacu Działyńskich Stary Rynek 78/79 w Poznaniu.

Tomy poezji, wydane w języku polskim w roku ubiegłym – 2018 należy nadsyłać w trzech egzemplarzach, do dnia 30 sierpnia 2019 roku.

Organizator konkursu powoła kompetentne jury.

Wybory wierszy nie będą brane pod uwagę. Do trzech egzemplarzy książki wewnątrz dużej koperty prosimy dołączyć małą kopertę, zawierającą kartkę z imieniem i nazwiskiem oraz danymi adresowymi, e-mailem, numerem telefonu.

Książki prosimy nadsyłać na adres – dla potrzeb konkursu: Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, Maria Magdalena Pocgaj, ul. Knapowskiego 22, 60-126 Poznań.

Niewiersze
Henryka Gały

Znasz? To posłuchaj.

Nie ma śmiechu kiedy nie ma tabu.

Co ma piernik do wiatraka?

Żeby mieć piernik, trzeba mieć mękę. Żeby śmiać się z czegoś trzeba czegoś zakazać. Najpierw strach, a potem śmiech. I nie ma tabu.

Chyba, że za wyśmiewanie weźmie się ten, który określa tabu. Jak król. I śmiechu nie ma.

Aż ktoś naiwny jak dziecko, powie król jest goły. Ludzie się zaśmieją. Wtedy królewscy Wbijacze Słów do Główn zakrzykną: To nie jest śmiech, ale upośledzenie i zdrada! Wielu milknie zastraszone, inni zawstyżeni, ale są tacy, co chichocząc, a jest to wymowny rodzaj dźwięków, mrugając jednym okiem mówią niektórym do ucha, że śmiech zjeździe do podziemia. Bez uśmiechania się, wewnętrzny śmiech oporu.

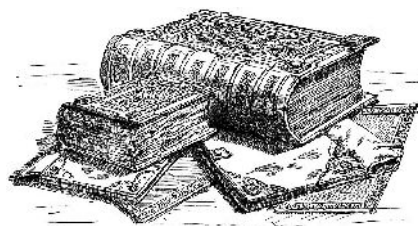
Zapowiedziano Bardzo Ważne Orędzie Króla, więc w wielkiej Sali, nazywanej Nasz Kraj i przed telewizorami, zgromadził się cały naród. Ludzie zobaczyli króla, a właściwie jego twarz przemawiającą do nich.

A jednak się wstydzi na golasa, pomyślało wielu i zaczęli uważniej słuchać. Ale nie rozumieli, co mówi król. Inni czekali z nadzieją, że na koniec król jednak się pokaże. Znowu przebił wszystkich, jest sobą, myśleli tak mocno, że prawie było słychać. I bili brawo, bo król skończył.

Uciszył owacę i wyszedł zza mównicy. I wszyscy ujrzeli, że jest ubrany w smoking. Zerwały się brawa. I gwizdy, które wyłączono z fonii. Niektórzy śmiali się, ale nie było ich słychać. Król nie zwracając na nic uwagi wyszedł. Był boso, ale stopy miał wyglansowane na czarno. Ludzie nadal, na wizji bili brawo, a gwizdali w domach, skrycie.

I tak jest. Do dzisiaj.

Aby do jutra.



Andrzej Walter

Zaginiony

Powieść szpiegowska bez prawdziwych szpiegów? Arcypoważne sprawy przedstawione w atmosferze kpiny czy groteski. Bohaterowie, w zasadzie z krwi i kości, ale przede wszystkim skleceni na miarę czasów, ze zdrowego dystansu i odautorskiej implementacji świetnego, ba, wytrawnego humoru. To można wymyślić tylko w Czechach i chyba tylko po Czesku, tak jak powstał niegdyś czeski film pod tytułem „Nikt nic nie wie”, po którym faktycznie nikt nic nie wiedział i chyba nadal nikt nic nie wie.

Zagrajmy w otwarte karty. Stać nas przecież na to. Autor tej powieści – Egon Hostovský to jakby postać z innego, właściwie nieistniejącego już dziś, świata. Świata, który się niby skończył, ale jego promieniowanie jak najbardziej i najrealniej odczuwamy mocno do dziś. Świata, którego konstrukcja, wbrew pozorom, narzuciła naszym czasom wizerunek i styl i wreszcie też świata, którego paranoja stanowi jakby załazek paranoi współczesnej, postindustrialno-niewolniczej. Wróćmy do faktów.

Egon Hostovský urodził się w 1908 w Hronovie, a zmarł w 1973 w New Jersey i był wedle Ewangelii wiedzy encyklopedycznej znanym czeskim pisarzem, redaktorem i dyplomatą. Na początku lat 30 studiował filozofię na uniwersytetach w Pradze i w Wiedniu, później był redaktorem wielu praskich wydawnictw. Pisał opowiadania i powieści, a w 1935 za powieść *Žhář* (Podpalacz) otrzymał prestiżową Nagrodę Państwową. W 1937 roku rozpoczął pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Po zajęciu Czechosłowacji, przez Paryż i Lizbonę wyjechał do USA, gdzie pracował w czechosłowackim konsulacie w Nowym Jorku. Powrócił na krótko do Pragi w 1946 roku, ale tuż przed komunistycznym puczem wysłany został przez MSZ na placówkę do Norwegii, z której po roku zrezygnował, by ponownie udać się na emigrację do USA. Tam powstało kilka jego najważniejszych książek: *Půlnoční pacient* (Pacjent o północy, 1958), *Dobročinný večírek* (Wieczór dobroczynny, 1958), *Všeobecné spiknutí* (Spisek powszechny, 1969) oraz właśnie nasz nieoceniony ... *Zaginiony* (Nezvěstný, w roku 1956).

Zaginiony wydany w latach pięćdziesiątych w USA sprzedał się w czteromilionowym nakładzie i do dziś pozostaje jedną z najciekawszych czeskich powieści XX wieku. W Polsce ukazał się 3 lata temu w znakomitym przekładzie Andrzeja Jagodzińskiego wydany przez moje ulubione wydawnictwo, czyli wrocławskie Książkowe Klimaty. Z zapowiedzi wydawcy możemy dowiedzieć się, że „*Zaginiony*” to powieść szpiegowska pokazująca, jak wyobcowany jest człowiek z społeczeństwie zdominowanym przez totalitarną ideologię. To świat podwójnej agentury i bezwzględnej pragmatyzmu. Znakomicie nakreślona atmosfera thrilleru świetnie oddaje wewnętrzny niepokój głównego bohatera i ukazuje centralną ideologię jako siłę chaosu.

Praga, rok 1948, krótko po lutowym zamachu stanu, w wyniku którego władzę przejmuje Komunistyczna Partia Czechosłowacji. Erik Brunner, żydowski intelektualista, miota się między strachem, który wzbudza w nim nowy reżim, a podświadomym pragnieniem poddania się sytuacji. Panuje nastrój paniki i nieufności.

Czym jest tak naprawdę powieść Egon Hostovskiego *Zaginiony*? Mixturem kafkowsko orwellowską podlaną sosem wschodnioeuropejskiej nostalgii? *Czeskim filmem* literatury? Moralitetem z opóźnionym zapłonem? A może wszystkim tym po trochu?

Jest to z pewnością literacki majstersztyk napisany tak brawurowo, że jego warsztatu i stylu współcześni autorzy mogą tylko pozazdrościć. Ta opowieść jest jednocześnie groteskowa, nieprzewidywalna, tudzież scalona z ambiwalentnych stanów emocjonalnych i głęboko oddanych stanów historycznych, a jednakże z tak wielkim dystansem, że współczesny czytelnik odnosi wrażenie, graniczące prawie z pewnością, że wszystko to dzieje się jakby tu i teraz, że wszystko to może za chwilę na naszych oczach powrócić i wydarzyć się tu, obok, właściwie od nowa. Hostovský napisał powieść, w której bohaterowie stanowią pewnego rodzaju ludzkie uniwersum mogące wydarzyć się zawsze i wszędzie.

Zaginiony z pewnością jest powieścią przestrogą. To ostrzeżenie do czego prowadzi deformacja tak zwanej demokracji, do czego prowadzi też narastająca głupota, czym staje się ... wojna, w której się nie strzela.

– *gdyby choć odrobinę znał się pan na polityce, panie Borek, to wiedziałby pan, że komunizm, nazizm, demokracja, Zachód, Wschód to jedynie terminy pomocnicze, przy pomocy których można przykryć wszystko albo nic. Ale pod pokrywkami o różnych nalepkach smażą się ludzie podobni do mnie. Nalepki ich nie interesują, pragną tylko przestać się smażyć. Mają gdzieś wszelkie prawdy i rodzaje moralności, panie Borek. Szukają rozumu. Tę dziwną wojnę, w czasie której na razie się nie strzela, wygra mądrość, nie zasady. Wygra mądrzejszy. Taki, który za popełnione i niepopołnione grzechy nie będzie trzymał ludzi w psich budach, wyłącznie z prawem do szczekania i obgryzania kości. Bo zbyt dużo głodnych psów to wielkie niebezpieczeństwo zarówno dla władzy zorganizowanego bałaganu, jak i dla władzy strachu. Wygra mądrość, rozum, a nie żaden kodeks wolności czy sztandary uczuć. Głodnym psom nie przeszkadza nawet bicie, ale bardzo nie lubią, kiedy zamiast zarcia dostają umoralniające kazania. W przypadku głodnych psów wolność mierzy się jedynie długością łańcucha, na którym są uwiązane. A uwiązane są wszystkie i wszędzie! Jak już przy tym jesteśmy, to powiem panu, panie Borek, dlaczego głodny pies nie lubi takich panów Borków. Nie dlatego, że go zbili, ale dlatego, że pan Borek to głupi człowiek. Pięknie*

się schował w tej swojej rzekomej dobroci, sprawiedliwości i uczciwości, zakładając sobie klapki na oczy, żeby niczego nie widzieć. No więc nie widzi nawet czubka własnego nosa. (...)

Tak, kochani. To jeden z najlepszych opisów współczesności jakie dane mi było przeczytać. Pomyśleć, że słowa te napisano siedemdziesiąt lat temu. Koło historii lubi się chyba zwawo kręcić i powracać tam, skąd być może wyjechało. Utrwalmy to sobie bardzo gruntownie: cały nasz świat oblepiono właśnie takimi nalepkami, a my siedzimy w kotłach tych garów i smażymy się niczym głodne psy na uwięzi. Mami się nas zdefraudowanymi pojęciami, oszustwami propagandy i ekranów, złudzeniami szczekania i obgryzania kości. A my wciąż głodni. Mamy już dość umoralniających kazań, świata hipokryzji, łańcuchów i nasączonych powodzią potrzeb ogromnych współczesnych smażalni. Mamy dosyć strzyżenia mapetów. Pan Borek z klapkami na oczach podsuwa nam gotowe rozwiązania i wsadza w nas właściwe odpowiedzi. Utrwalając w nas tęsknotę, poczucie samotności, opuszczenia i zagubienia...

(...) *komunizm, nazizm, demokracja, Zachód, Wschód to jedynie terminy pomocnicze, przy pomocy których można wszystko przykryć* – zapytajmy zatem co się tym przykrywa, i dlaczego?

Dokąd zmierza ten świat? Ależ to jasne. Zmierza do czarnej dziury, w której przestaną obowiązywać wszelkie hamulce, historie, jakie znamy, w której nie będzie już nic ze świata, który odszedł w niepamięć.

Być może zmierza on też do powtórki z rozrywki. Do kłów i kamieni w miejsce łańcuchów i kości. Do końca będącego początkiem i początku, który stanowi jedną wielką niewiadomą. Najpierw jednak trzeba będzie wystrzelać wszystko to, co zostało wytworzone i wyprodukowane. Trzeba będzie tego użyć. Dlaczego ma się to zmarnować i zniszczyć? Marnotrawstwo nie leży w naszej naturze, w naturze Borków, z klapkami na oczach. Marnotrawstwo było dobre w czasach Marcela Prousta, które dokonały już przecież swojego żywota i nigdy nie powrócą, a z przestrzeni wspomnień należy je najskuteczniej wyrugować i wypalić żywym ogniem nowoczesności. Słabości, nostalgia, melancholia – to nie dla nas.

Dla nas popioły i łzy. Łańcuch na tyle długi, aby obejrzeć wiadomości w telewizji, kości na tyle obfite, aby nie zdechnąć z głodu, buda, liga mistrzów, Netflix i Facebook, a potem do piachu, piachem w oczy i piachem w nasze dusze.

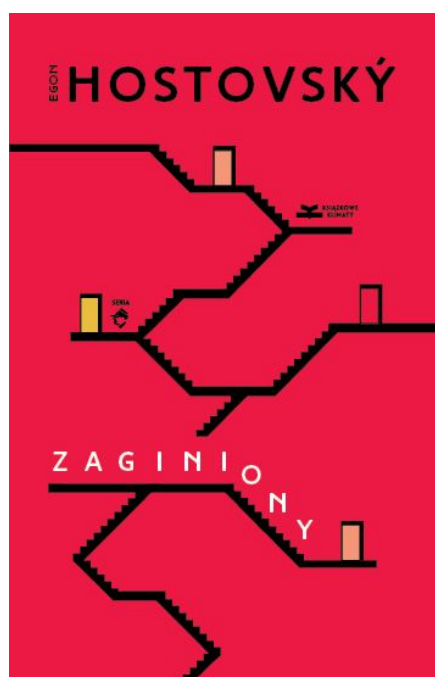
Zaginiony Hostovskiego to też inna perspektywa. Tak jak i nie ma w niej kryminału czy sensacji (choć stale jest poszukiwanie,

(Dokończenie na stronie 4)

Zaginiony

(Dokończenie ze strony 3)

napięcie i suspens), tak jak nie ma w niej szpiegów, (pomimo obwołania jej powieścią szpiegowską), tak i nie ma w niej głównego bohatera. Znaczący się on w zasadzie jest, istnieje teoretycznie, a właściwie nawet praktycznie, w zasadzie towarzyszy nam od początku do końca. Głównym bohaterem jest bowiem niejaki Pavel Kral, który zawsze jest kimś, kogo akurat nie ma. To postać mityczna, mitologiczna, towarzysząca nam, podziwiana i kochana, ale przecież nieuchwytna, pojawiająca się w relacji i w niej też znikająca, albo nawet zanikająca, postać z opowieści, czy ze wspomnień, czy też z wyznań drugoplanowych, ale jednak właściwych, jak najważniejszych i najprawdziwszych bohaterów tej jakże niekonwencjonalnej powieści.



Pavel Kral naszym alter ego, fantomem naszych stanów, wyidealizowanym herosem i jest iście fascynujący. Wyrzeźbiony literacko, wykreowany, jakby uświęcony, wyidealizowany, wzbudza zachwyt, podziw, żal, współczucie, zazdrość, litość, właściwie, gdyby sobie tak dokładnie uświadomić to wzbudza wszelkie możliwe nasze ludzkie uczucia. Czy Pavel Kral jest alter ego naszych dusz? Fenomenalny zabieg kulminacji ludzkich uczuć wobec „głównego bohatera”. Słowem żywa powieść psychologiczna, która wcale taką powieścią nie jest, jest bowiem powieścią dokładnie historyczną, osadzoną konkretnie w pewnym przełomowym momencie historii naszych południowych sąsiadów. Jak to jest, że można do tak poważnego i traumatycznego wydarzenia w historii narodu odnieść się z ironią? z dystansem? z wytworną kpina? Czy w każdym Czechu (i podnoszę to z sympatią i wręcz fascynacją) jest cząstka dobrego wojaka Szwejka? Czy wszystko można obśmiać i wykipić? Czy do wszystkiego można mieć taki

dystans? Zaprawdę, powiadam Wam, dla nas, Polaków, to jest doprawdy niezrozumiałe..., ale czy na pewno? Czy może już jednak ulegliśmy jakiejś transformacji?

Odpowiedź jest (prawie) twierdząca, z tym że szwejkowość Hostovskiego jest nieco odmienna. Delikatnie ufilozoficzniona. Niejednoznaczna, żeby nie powiedzieć dziwna. Powaga i strach przechodzi tu w bardzo prostoduszny śmiech, śmiech jednakowoż (z innej perspektywy) naznaczony paroksyzmem komizmu w jaki wtłacza nas w zasadzie każda współczesność, tym mocniej im bardziej jest współczesna, im bardziej jest nowoczesna i postępową, im bardziej chce nas ukształtować na swój obraz i podobieństwo... i tutaj znów przychodzi do nas Pavel Kral. Człowiek, bóg, deus ex machina?

Pavel Kral wzbudza w nas to co w danym momencie powinno się wzbudzić w naszym sumieniu, w naszych wątpliwościach, w rozterkach i w dylematach związanych z niemal każdą sytuacją... Pavel Kral patrzy na nas wtedy. I ma w sobie to głębokie spojrzenie naszego patrzenia i wchodzenia w inny świat, w świat naszych myśli czy refleksji, w świat naszej duchowości, w zwierciadlany seans duszy – Pavel Kraj – wzorzec, miara, zjawia, drugie nasze dno.

Zaginiony. Jakież to mocny i właściwy tytuł. Tak, jakby każdy z nas był tym zaginionym. A zagubieni są na pewno wszyscy występujący. Zagubieni, zdradzeni przez czasy i historię, na swój sposób potępieni, opętani lękiem i strachem, odcarci z godności, usmażeni przez kategoryzację i kwalifikację, jak na rampie w Auschwitz... Partia ich osądzi. Kim i czym jest dziś Partia? Kto się za nią ukrywa i gdzie tak naprawdę Ona jest? I czy w ogóle... jest...?

Na koniec z kolei, kilka słów o życiu piciu i meliniarzach, tudzież o tym jak to jest z naszym żywotem w kawałkach (Partii przecież bardzo zależy na naszych żywotach w kawałkach):

Chętnie przesiaduję przy barze w lokalach wszelkiej maści i wśród ludzi najróżniejszych warstw. (...) (Wiecie) pasja życia i pasja picia są niezwykle podobne. Czegóż to pijak nie jest w stanie zrobić dla kieliszka ukochanej gorzałki! I jak śmiesznie człowiek stara się ze wszystkich sił, by pijąc i żyjąc, chodzić prosto. Co do ludzi na dnie, o sprawach życia i picia decydują zawsze jacyś potężni opiekunowie. W obu przypadkach to meliniarze – czy sprzedają alkohol, czy żywot w kawałkach. (...)

Jak powiedział kiedyś Boguś Linda, w jednym ze swoich szczerych wywiadów podanych procentami: *– Szanowna Pani, ten świat na trzęsivo... jest nie do zniesienia.*

I tym optymistycznym akcentem podsumujmy nasz marny żywot na tym łez padole. Zawsze gdzieś będzie jakiś Pan Borek, zawsze gdzieś jest ktoś zaginiony, ktoś szuka wazelki z damską bielizną, a jeszcze inny chce naprawić świat. A świat, jak to świat, ma to do siebie, że woli być delikatnie rzecz ujmując – nieco nienaprawialny.

Andrzej Walter

Piotr Prokopiak

Z ławki rezerw (gwiazd)owych

Zazdroszczę ci bracie. Nie wysiadłeś na zaludnionej stacji. Choć czekałem na peronie, gotowy do meczu.

Nie szkodzi, że wkrótce się zapomniałem. Kiedy podałem futbolówkę na skrzydło gdzie miałeś zająć pozycję, przecięła pustkę i pękła pod przejeżdżającym starem. Była spod lady. Potem długo musiałem kopać gumową, obciachową plażówkę.

Zazdroszczę ci bracie. Nadal podążasz w gwiazdy, natomiast mnie, zarzyna tutaj nieboski Chronos. Mebluję wydzierzawioną przestrzeń, trumnami. Zniczem celebruję tabele wszechstrachów przed degradacją. W żonglerce snu nocy

wietrznej, studiuję hieroglify ciał niebieskich, gdzie ty, uwolniony z białego pudełka, trzymasz pod pachą moją, przechwyconą nadziemską robinsonadą* piłkę.

Zazdroszczę ci bracie. U ciebie nadal koniec lat siedemdziesiątych. Przed tobą: rozgrywki podwórkowej ekstraklasy, Espania 82, awans Wielimia do trzeciej ligi. W kosmosie, nawet Heraklitowi inaczej płynie rzeka, a strefa spadkowa oddala się na kilka sezonów świetlnych.

Zazdroszczę ci bracie. Niezaistnienia w istnieniu. Nobilitacji do wyższej ligi przemienienia. Kiedy już udławia mnie cienie meczów przyszłych, pobiegniemy razem, w ataku na bramkę legionu mareny. Fleszami załśni Camp Nou, wzniesiony tuż za rewersem sklepienia. Tam po gwiazdorsku przedawnieniu żadna centra nie ulega.

* W żargonie piłkarskim Robinsonada odnosi się do zagrania, a właściwie interwencji bramkarskiej. Określenie to pochodzi od nazwiska angielskiego golkipera Derby County i Southmpton – Johna Williama Robinsona. W 1899 roku podczas jednego ze spotkań Robinson zaprezentował zagranie, jakiego piłkarski świat dotychczas nie widział. Rzucił się do leżącej po ziemi piłce z poziomo ułożoną sylwetką i wyciągniętymi rękoma.



Mniej Więcej (174)



Foto: Zofia Mikuła

Kolejna emigracja?

Na początek wyjaśnienie: słowo *anturaż* (z francuskiego „*entourage*”) oznacza środowisko, kontekst i wszystko, co nas otacza. Bez otoczenia żylibyśmy w pustce. – jak zdjęcie wycięte z tła. *Anturaż* posiada tę cechę, że może być nim wszystko.

No, w tych wierszach Katariny Lavmel najpierw otacza ją pseudonim. Bo tak naprawdę jest to Katarzyna Nazaruk, która właśnie wydała swój trzeci tomik wierszy. Jest obywatelką Słupska; nauczycielką. Ale nie ma pewności, czy nadal będzie ten zawód uprawiała, ponieważ od pewnego czasu mieszka w Portugalii.

Leszek Żuliński

Zastanawiałem się, dlaczego Katarzyna Nazaruk zamieniła się w Katarinę Lavmel. Łucja Dudzińska pisze: *Przestrzeń wokół słowa Katariny Lavmel, w tomie „Anturaż”, bywa odmienna w zależności od przekazywanego nastroju. Często trzeba odejść – „aby widzieć drugi brzeg, pooddychać obłokami, uratować duszę przed starością” (...)* To zderzenie świata wewnętrznego z zewnętrznym, a nicią łączącą są wspomnienia, emocje, tęsknota, osobność, pragnienie miłości.

Ten najnowszy tomik Pani Katarzyny vel Katariny jest osobliwy (hm, może nie powinienem być zdradzać tę podwójną tożsamość, ale mnie kusiło; zresztą ona sama na stronie redakcyjnej uaktywniła swoją polskość). Na okładce natomiast mamy podwójny tytuł: *Anturaż* i *Entourage*.

Książka ma aż trzy wersje językowe: polskojęzyczną, angielskojęzyczną oraz portugalskojęzyczną. Tak czy owak tomik jest osobliwy i ciekawy. Tyle, że my teraz będziemy się „motać” między Katarzyną a Katariną. Ciekawe, co z tego dualizmu dalej się rozwinie.

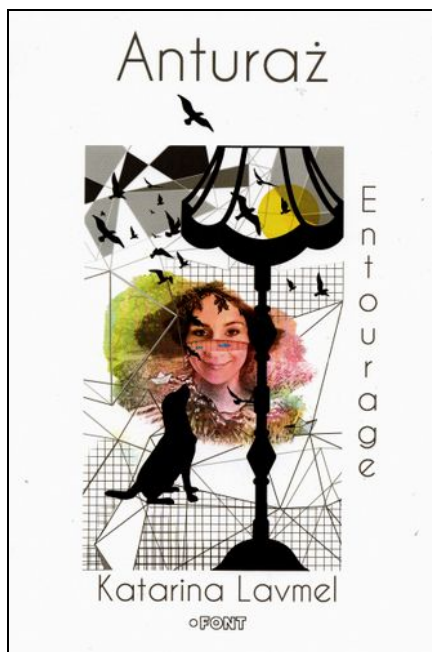
No, trzymajmy kciuki! Oby Katarzynie się powiodło i nie stało się tak, jak w pewnej piosence Jerzego Wasowskiego i Jeremiego Przybory: *W tym ogrodzie za Księżęcą zmać*

duszę mą dziewczęcą / Potem ciało zawiódł śmiało na Prascati / Tam, gdy z radia płynął walczyk, wykorzystał mnie Portugalczyk / ino ze szczerem: Vincento Osculati / A kiedy wschód zaczął ciut złocić kwiaty / Powiedział mi twarde że: nie zapłaci!

Ale żart żartem, a pora przejść do konkretnu. Oto jeden z wierszy Katarzyny pt. *Antyrama: serce ma czasem chwile słabości / o których mówi się delikatnie / nie uda się wmówić w antyramę // zwyczajne ludzkie słabości / i tracę przyciąganie ziemskie – / w karafce smutek niespity do dna // wiem to sprawa między naszymi sercami / jeśli pochowasz mnie w swoich pragnieniach / nie będę szukać w szufladach naszej namietności / zaglądać w cudze kąty // z bielizną i płatkami lawendy znikną zapachy / zaprzyjaźnione obrazy – brokat już opadł / ale nie wszystko już było // krzyk się nie wykrzyczał / miłość się nie odkochała / czas nie mija szybko i byle jak.*

Hm, klasyczny erotyk. Tyleż „słodki”, co niepokojący, niepewny, wykrzykujący się cichym krzykiem; może oczekiwaniem?

Emigracja Katarzyny może będzie krótka? Może doczesna? Tego nie wiemy, jednak wszystko wygląda na razie na to, że pozostanie poetką polską. To tak już jest, że język wyspany od kołyski pozostaje na zawsze fundamentalny. Zresztą mamy w tej kwestii spore doświadczenia: iluż naszych poetów emigracyjnych pozostało poetami polskimi. Niechaj Nazaruk najpierw nasyci się Portugalią, a potem nadal – jakby nigdy nic – będzie naszą poetką. Chciałbym, bo talent ma.



Pewien wiersz szczególnie mnie tu uwiódł. Jego tytuł: *Dekalog po czterdziestce*. Oto on: *oby tylko nie zdrewnieć // żmudnie rozwijać na siłowni / tkanek mięśniową / intelekt // biegać pod prąd – / na przekór ciekawskim kierowcom // podnosić ludziom ciśnienie / i poziom tolerancji w oczach // jeśli torturować swój mózg / to książkę – nie operą mydlaną // studzić intelekt dmuchając jak na zimne / ignorować fałdy i cellulit / kompleksy – owszem balsamować / ale na ich pogrzeb // wierzyć w biednego człowieka / o nabrzmiałej twarzy // kochać innych bez*

złudzeń / tak jak swoje odbicie (ukradkiem) / w kieszonkowym lusterku.

No więc jaka puenta? Ano wyemigrowała nam polska autorka, ale jeszcze nie raz się do nas odezwie. Warto ją czytać! Ona „czuje bluesa”!

Katarina Lavmel, *Anturaż*, Fundacja Otwartych na Twórczość, Wydawnictwo Font, Poznań 2019, s. 80.

Katarina Lavmel

Amen

ta cisza to kłamstwo na trzy etaty
z rozmodlonych uśmiechów nieładnie patrzy

10 przykazań
przeżuliśmy na papkę z czosnkiem –
zapach odstręcza

fałsz odkłada się z niesmakiem
jak talerz z żebranią na sympatię

dookoła prośby – kto nas rozgrzeszy?
– hurtowo

Na wyborczym plakacie

pusta rozmowa pękła jak bańka mydlana
niech ją wypełnią słowa – opiłki
kolorowy miąższ z Fabryki Snów
kończy się przerwa na pokutę
i liczenie na łatwiejsze dni
niech słowa głucho nie dźwięczą
tęsknota popycha wiersz do niemilczenia
bo dobre słowo przed snem uwodzi
jak pluszowa poduszka

ludziom z plakatów
od ciągłych uśmiechów
opadają policzki powieki usta

* * *

Którymi kolorami nazwać emocje
gdy córka ofiaruje ci książkę

o tytule „*Jesteś cudem*”

dedykacja: „*Kocham Cię*”
likwiduje wszystkie życiowe dylematy
i spada na ciebie złoty deszcz
zasypiasz odurzona

jak kiedyś zapachem pachnącego groszku
zostaje uśmiech na twojej piźniamie skórze
i pościeli

aby dzień prowadzić za rękę

budzisz się – jesteś drzewem pełnym pąków

Leszek Żuliński

Faust pisze do Piotra Kuncewicza

Pytasz mnie o braterstwo krwi, wspólny
rytm serca,
lęk w oczach, źródło i powód pragnienia,
skowyt
wyrwyjący się każdej nocy w rozmowach
z sufitem,
pytasz, dlaczego na widok gładkiej skóry
i rzeźkiego powabu
Małgorzaty mdlejemy w środku siebie
z zachwytu i wściekłej niemocy,
nagle wyrasta w nas dwudziestoletni
chłopiec
biegnie ku niej i uderza głową w mur
głuchego ciała.

Odpowiedź, Piotrze, jest prosta:
od kiedy staliśmy się wyznawcami prawdy
i piękna,
pozyskaliśmy zdolność wzruszenia się
zachodem słońca
nad winnicami Badenii,
zdolność zaptakania nad butwiejącym jeżem
znalezionym w zakątku jesiennego ogrodu,
zdolność niemego zachwytu kształtną głową
flaminga,
która nagle okazuje się dłonią tancerki
sięgającej po rąbek szyfonowej kryzy,
od kiedy zrozumieliśmy, że zrywając jabłko
z jabłoni
niszczymy wszechświat jabłka, a zjadając je
trawimy rajski owoc i wkraczamy
w zastygłą rzekę Mitu,
nie mogliśmy już potem
od tych wszystkich wielkich i małych zdarzeń
powrócić do siebie, cieszyć się sobą, sycić
w lustrze; nasza skóra była jak zdjęta
z nosorożca,
elephantiasis cielska raził nieociosaną bryłą,
wszystko w nas krzychało odrażającym
uwiązaniem
zapomnianej młodości.

Ale byliśmy przecież już wtedy władcami
królestw,
opaste księgi meblowały nasze wnętrza,
ich safjan gładził bunt i obyczaj, jakie
zbieraliśmy latami
w borach żywota, świat rozsypywał przed
nami swoje rozdroża,
dorzecza wielkich mitów znajdowały ujście
w deltach słów,
legenda Europy kładła się przed nami
brzuchem do góry jak potulna lwica
i tylko jedno okazało się nieosiągalne:
pępek Małgorzaty,
to magiczne epicentrum świata,
w którym chcieliśmy jak w studni Artemidy
znaleźć cudowne orzeźwienie,
nie wiedząc, że bierze nas w swoje ręce
zimna dawczyni nagłej śmierci, syrena
faustów,
frigida zenitu wzywająca w sam środek

kipieli
i pożerająca nas kawałek po kawałku jak
harpia,
która wyrwywa rybki życia z wód płodowych
nadziei.

Łączy nas, Piotrze, to samo,
to samo aż do znudzenia dzieje się bez zmian,
od praczasów, epok, pokoleń budujemy
gmachy wiedzy,
ustawiamy słowo na słowie,
warga nam drży z przejęcia, gdy natrafiamy
na samorodek
metafory, stukaratowy symbol, kryształowe
przesłanie,
ale żaden poryw sztuki, żaden wysiłek dnia
nie jest nic warty,
jeśli pod wieczór nie możemy wrócić do łona
niewiasty,
zwinąć się w embrion, zasnąć chłopięcym
snem,
by rano obudzić się do nowego czynu.

Dlatego starzejemy się, wiotczujemy,
ręce nam opadają,
świat z nas odpływa,
Małgorzaty za naszymi plecami
kreślą sobie palcem kółka na czole
i puszczają się z efebami,
z którymi płodzą nowych faustów,
a zamroczony los zatacza się od ściany do
ściany
da capo al fine.

Smak Małgorzaty

Jest gorzka;
kiedy gwiazda piołun świeci nad jej głową,
piję absynt i przetykam łyż.

Jest słona,
gdy z morza martwego niosę do jej nóg
wyżartą do białości muszlę moich snów.

Jest słodka,
zwłaszcza gdy w paroksyzmach nocy
wyrzuca z siebie imiona innych mężczyzn;

najbardziej lubię, gdy marcepanowa –
wtedy zapomina o całym świecie
i patrzy na mnie jak dziecko
lub łakoma lwica.

Postać tragiczna

jest jedną z nas

mijamy ją w tłumie,
przysiadamy się do niej w pociągu
lub tramwaju, na ławce w parku,
gdziekolwiek

nie zwracamy na nią uwagi

ale gdy się przyjrzeć – łatwo ją rozpoznać,
jest podobna do Antygony, Elektry, Edypa,
owiewa ją daleki zefir antyku,
twarz ma mroczną jak bitumity
nad Morzem Martwym,

nieruchomą, zastygłą,
z pustymi oczami,
w kąciach ust – piołun

nasze proste ścieżki życia
są dla niej labiryntem

stoi w miejscu, nie szuka światła,
czasami pyta się Wyroczni:
dlaczego ja?

I co teraz?

I co teraz? – zapytała Małgorzata,
kiedy wyrzuciła mnie ze swojej poczekalni,
pozbawiła nadziei, odarła ze złudzeń,
zepchnęła na dno pustki, pozbawiła prawa
do,

straciła z ostatniego szczebla,
strzepnęła z siebie w czasie wspinaczki,
przegoniła, wyzuła, wyzbyła,
zastosowała najwyższą instancję odmowy,
zatrasnęła drzwi swojego ciała.

Poradź Edypie,
poradź Syzyfie,
poradź Tantalowi.

Znowu razem piszemy
ten antyczny dramat niespełnienia,
choć żadnej tu jedności
miejsca, akcji i czasu.

I co teraz?

Nie mam wyjścia, Małgorzato:
Edyp nauczy mnie chodzić po omacku,
Syzyf pchać kamień, który spada,
Tantal – przeżyć bez krynicy twojej miłości
i brzoskwiń twego powabu.

Nie musisz tego rozumieć,
tak jak ja nie pojmuję banicji;

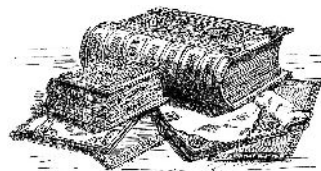
róbmy swoje: rozmijajmy się,
może po to zetknął nas Los,
aby badać chemię faustyzmu,

stężenie siarki
w oparach absurdu.

Démon de midi

Boże, to przecież miało być popołudnie
fauna,

a jest infernum demonów,
miały być Laury i laury,
a tu wypełzają larwy, szczerzą się maskary,
ze stłuczonego zwierciadła losu wyskakuje
Quasimodo o oczach bazyliuszka,
wiesza się na mojej aorcie
i tak kołysze dzwonem,
że aż serce pęka.



Zbigniew „Ikona” Kresowaty

Zwierciadło

nienarodzonym

Delikatne dotyki na niebie
porywają kosmiczne statki
widziałem jak wślizgiwały się
do wózka po nienarodzonym
dziecku z imieniem Elf

migające kropelki snu wołają
za widzialną twarzą księżycą
ciepłe łupiny na mgłę które wciąż
nic nie wiedzą o innym dniu – czekają
złożone z krzyczących ku niebu miłości
z niemych znaków płynących we krwi

Ty oczekujesz we mnie JA
– w tobie bardzo czekam
na delikatne dotyki które porwały
kosmiczne statki – widywaliśmy
wybuchy czekania na wieczność
jak dotykały niewidomej duszy
nawet wtedy gdy mieliśmy
oczy pozamykane na powiek
wieków są rzeczy dotykane palcem
bożym sensem logosu
są z góry ponazywane
choć i my mieliśmy ciała

Łabędziem być

na jeziorze zapomnianym
na obrazie nienamalowanym
być opływać swoją biel
w głębinie zapomnianych luster
opływać brzegi całym sobą cichym
nigdy nie stopnieć w ciszy
gdy przestrzenie wołają zostać!
choć z najgłębszych wód słyszeć
szepc wołania – -----
W ciągłym znaku zapytania trwać
jak opierzony biały wąż w zaroślach
czekać tam gdzie syczą krople krwi
widnieć tam gdzie huczy mróz
zanim ktoś płomienie zatrzyma
jedynym ponad opływać brzegi

– bo nic się nie dzieje
dryfować bezwiednie
jak w bieli

Kiedy ty śpisz

bo kiedy ty śpisz
masz twarz zwróconą
na spokojną stronę
widzę jak na falochron snu
zmarszczę siada ci mewa

to znów wznosi się i łowi z dużej fali
wiersze Owidiusza

kiedy ty spisz ja twój malarz
zapowiadam ci obrazy
a ty wznosisz się
ponad wielki Palatyn
i rodzisz tyle tyle

kiedy ty śpisz
jestem ciągle obecny
wciąż jak mały biały żagiel
na morzu jak w powiece

Jakby z Nirwany

całą noc malowałem
– Już poranek dzwon na kościele
odbyło się poświęcenie pól
– chwila i zjawiłaś „Się” nagle
jak ikona z nieba bosko cicho
spadał nad ranem na parapet
dzień obnażył twoje loki i kibić
rozpromienił po domu pokładł
jak kolorowe pędzle na pałecie
malowałem z okna na którym krzyż
ale ja witałem barwy z tobą
rozczeaną w śnie Marsjasz
nam grał na fagocie

wciąż patrzę nad Nirwanę
Marsjasz gra nam na flecie
rozbity dzban księżycy wychyla
się bledszym odcieniem na niebo
Jeszcze zdajesz mi się – a widzę patrzę
w Niby sen – dopała się testosteronem
i stos ptactwa rozśpiewany nad domem
– w dali tli się katedra jak skrzydło
nad dachem unosi się jak dym
Wciąż snujesz mi ścieg myśl
– cienisz południe nicią złotą
nie uchodzisz bledszą z powieki
– jeszcze wyglądam za tobą
przez ramę okna jeszcze
z otwartą dłonią obrócona
„jak się masz” – dziwnie biegnę za tobą
– jak za tylną szybą starego auta
– uchodzisz z obrazu

Jerycho

Nie zdążyłem ocalić Jeruzalem
stać mnie było tylko na pamiątki
wciąż nie do zdobycia te mury miasta
siedem otwartych Bram w które
tysiące lat dęli trąbici w różne ustniki
odjechali jedni a inni krzyżowali języki
zapomnieli tamci przestrogi sędziwych
ze znakami krzyży jeźdźcy najeżdżali po
złoto
wszyscy wiedzieli gdzie jest Arka Przymierza
ale nikt jej nie znalazł kopali wszyscy i święci
dlatego jej nie ma do dziś – dekalog już
zapomniany
nawet w blasku morza Martwego
rozkołysani szukali
Teraz Erynie wciąż nie dają spokoju
pyszałkom zuchwałym
– A tu wystarczy tylko uwierzyć

Przychodzi do mnie Czasem Kawafis

Z tamtych widm przychodzę
tutaj stanąć chcę jeszcze raz
chcę się łudzić jak w miłości
chcę się pieścić z widmami
jak łąza z powieki z sadzą spłynąć
na powieki popatrzeć
pobyć na oczach niespokojnych
– skoro tyłu patrzy nawet Erynie
– wielki zagłada w niszę tłum
niech stanę i ja zawsze gotów
nim zabierze słońce noc
przymierze kolorów pożegnałem
koniec to świtu czy koniec świata?
jakaś ogromna pieśń się niesie
ku nam tonący Palatyn jak Psalm
pieśń jakby o mężobójcach argejskich
Królu mój Pryjamie – wiem dobrze co
zwiastujesz dziś światu – tylko nie potop
bo nic już nie ofiaruję Nikomu jedynie widmo
NIC przy sercu mi nie zostało – to jedyna
z rzeczy tych co odpłynęli w mroki
za nas za sen w ciepłych niszach śpią
i położyła się spać ich moc – syczą
zza pleców cienie które dobija szepc
jakis zdyszany umysł nieznany sztylet
dźwięk poraniony – czyżby to już Glossa?
– wspominam tylko Aleksandrię

Uniesienie

koń to taki duży potulny anioł
zamknięty w kopalni marmuru
białośnieżny muskuł Herkulesa
krąży wewnątrz skał przeży się
weźmie rzeźbiarz dłuto i młot
poprowadzi wzrok do morza
światłne lata popłyną spod palców
i stanie biały koń przed kobietą
który wiekami biegł w skałach
koń Gabriel całym nawiedzeniem
całym snem niebios odkryje się

A dusza kobiety będzie się zanosić
wiadomością – powlecze łono nadzieją
i stanie się nawiedzenie – zawsze jest
jedynie gdy zjawia się Anioł nad kobietą
wdzięcznej miłości

Koń to taki duży potulny anioł – wyłonił się
już z bieli morskiej i obnosi się skrzydłami
stanie nad kobietą miłości – bo tylko Ona
zmyje z powiek sen żeby uwierzyć w siłę
jaką jej przyniósł tylko ten jeden raz



Zbigniew Kresowaty – Autoportret

Stanisław Stanik

Władysław Nater

Miał 12 lat, kiedy w październiku 1929 roku jego proboszcz w Domachowie, ks. Jan Ludwiczak, zawołał go na plebanię i wręczył mu książkę łacińską, od razu przystępując do pierwszej lekcji. Ks. Władysław Nater znał ministranturę, ale łacina przedstawiała mu trudności. Tym większe było zdziwienie w domu. Szlachetny pleban uspokoił rodziców chłopca i kontynuował spotkania z nim dwa razy w tygodniu, podnosząc jego wykształcenie.

Postanowił wysłać go do liceum, zobowiązując się płacić za niego na przybory szkolne i podręczniki. W czerwcu 1930 roku ks. Władysław Nater zdał egzamin do II klasy gimnazjum w nieodległym Gostyniu, gdzie dyrektorem był znany i zasłużony dla szkolnictwa gostyńskiego ks. Franciszek Olejniczak. Ksiądz Nater napisał o nim w perspektywie czasu, że „był wielkim duchem naszej uczelni, wychowawców wzorem”. Ale spotykały księdza Natera kłopoty natury materialnej. Na szczęście ks. Ludwiczak napisał list do oo. filipinów na Świętej Górze z prośbą o przyjęcie młodego ucznia do tamtejszego konwiktu. I tym sposobem trafił z kryzysowej nędzy w cieplarniane warunki.

13 czerwca 1932 roku w przytulnym domachowskim kościele odbywały się prymicie ks. Kazimierza Dworaka. Ks. Władysław Nater bardzo je przeżywał. Tak był przejęty uroczystością, że przepłakał ją i postanowił, że sam zostanie kapłanem. Od IV klasy gimnazjum należał do Sodaliczji Mariańskiej. Jej duch Maryjny, nabożeństwa, akademie, referaty – to wszystko mobilizowało ucznia, wzmacniało jego idealizm religijny i kształtowało powołanie kapłańskie. Szczególnie promieniowania łaski Bożej doznał, gdy prezesem Sodaliczji został Henryk Wilczyński. Później, w 1935 roku, tenże Wilczyński, wspinały młodzieniec z charakterem, wstąpił do zakonu jezuitów i został kapłanem. Niemcy zamordowali go podczas wojny na Rakowieckiej w Warszawie. Wzrosty wpływ wywarł na ks. Naterze inny ważny w jego życiu kapłan, ks. moderator Szczerbiński. Wysłał go na kolonie sodaliczne na Śnieżnicę na Górze. Tu zetknął się ze znakomitymi osobowościami, kształtujące postawy moralne i ideowe młodzieży. Szczególnie odcisnął się w świadomości założyciel tej kolonii ks. Józef Winkowski. 4-tygodniowy turnus wypoczynkowo-kształceniowy to okres niezapomnianych, podniosłych wrażeń duchowych.

Zaraz po ukończeniu gimnazjum, 21 czerwca 1937 roku, ks. Władysław Nater wstąpił do Kongregacji Księża Filipinów, a 1 października rozpoczął studia teologiczne w seminarium diecezjalnym w Tarnowie. Zamieszkał tu razem z dziewięcioma innymi klerykami filipińskimi. Znalazł się w pokoju z dwoma najstarszymi kolegami, a mianowicie

Ferdynandem Machayem i Janem Michałkowskim. Ferdek, góral z Jabłonki, od razu przedstawił się jako charakter nieokrzesany, szorstki, „kanciasty”, lecz tak pracował nad sobą, że stał się łagodnym, urobionym, wiernym regule zakonnikiem. Dłużej znał ks. Nater Janka Michałkowskiego, urodzonego w 1914 roku w Jorcie. Przebywał z nim przez 3 lata konwiktu z Sodaliczji Mariańskiej, rok z tarnowskiego klerykatu i dwa lata z kapłaństwa. 22 sierpnia 1942 roku został aresztowany i wywieziony do obozu w Buchenwaldzie. Obydwaj przyjaciele zginęli z rąk hitlerowców, a ze względu na szlachetną postawę i przymioty osobowe obaj zasłużyli na wyniesienie na ołtarze. To przewrotna historia sprawiła, że nie zdążyli zabłysnąć, a już poszli „ku niebieskim tarniom”.

Ks. Władysław Nater uczył się w gmachu seminaryjnym tylko dwa lata. Dalsze trzy miały miejsce w kolonii wakacyjnej, w opustoszałym po śmierci ks. biskupa Franciszka Lisowskiego pałacu biskupim. Właśnie w tym drugim miejscu młodzi klerycy, a wraz z nimi ks. Nater, otrzymali 9 sierpnia 1942 roku święcenia kapłańskie. Mimo wojny, aresztowań, ponad rocznego zamknięcia wykładów program seminarium został zrealizowany. Naukę ukończyło 33 seminarzystów, a rozpoczęło 48. Dobre wyniki i otwarcie przykładowych perspektyw na przyszłość młodzi zawdzięczali hierarchom, którzy wygłaszali konferencje bądź udzielali im święceń, w tym biskupowi Franciszkowi Lisowskiemu (zm. 4 IV 1939) i biskupowi Edwardowi Komarowi (zm. 27 IX 1943).

Od młodości, jeszcze w gimnazjum, ks. Nater spotykał się z ludźmi wielkimi duchem. W konwikcie gościli tacy przedstawiciele kultury jak pisarz Jerzy Bandrowski, profesor Tadeusz Dominik, sławny ornitolog Sokołowski, Krzyżanowski z Wilna, wygłaszając prelekcje. We wrześniu 1937 roku przybył na Świętą Górę również o. Maksymilian Kolbe, który dzielił się wspomnieniami z Japonii, skąd niedawno wrócił. Przeglądał się młodzieży, jak grała w siatkówkę na boisku. Był uduchowiony, poważny, zamyślony. Władysław Nater zetknął się z bł. Michałem Kozalem, wysłuchując jego przemówienia na zjeździe sodalicznym w 1936 roku w Gnieźnie. Zapamiętał, że bł. Kozal mówił o ideałach sodalicznych i o Matce Bożej, tematy traktując z szacunkiem i namaszczeniem.

Ksiądz Władysława Natera nie ominęły nieszczęścia i szykany II wojny światowej. 12 marca 1940 roku gestapo zamknęło świętogórski klasztor i wywiozło jego mieszkańców do Bruckowa pod Berkiem, których skoszaronowano w trzech powiatach: gostyńskim, jarońskim i krotoszyńskim. W izbach po oo. werbistach dokuczał chłód, ale warunki były do wytrzymania. Pod koniec maja ks. Natera, kleryka i braci zakonnych skierowano do

Generalnej Guberni, „do krewnych”. Wtedy to ksiądz znalazł się po raz pierwszy w Studziannie, zachowując w pamięci wspomnienia miejscowych szlachetnych ludzi. Pojechał potem do Tarnowa, aby tam kontynuować studia seminaryjne. Po II wojnie światowej, po trzech latach nauki, przeniósł się na lata całe do Studzianny, z początku jako kleryk.

Spotkały go szykany ze strony nowych władz Polski. Omotano księdza siecią donosów i oskarżeń. Były grzywny i nękania kolegami. W sądach i na kolegiach stawał się osiem razy, będąc oskarżonym o duszpasterską postawę wierną wskazaniom Episkopatu.

Z blisko 60-letniego posługiwania po 1945 roku w studziańskim środowisku trzeba odliczyć rok pobytu w seminarium tarnowskim a także 5 lat pracy duszpasterskiej w Bytowie (1947-1952), gdzie kładł zręby pod nową filipińską placówkę. W Studziannie w ciężkich czasach stalinizmu był przełożonym zgromadzenia, wieloletnim proboszczem parafii, utalentowanym i podziwianym kaznodzieją oraz cenionym spowiednikiem. Sam o swym powołaniu w posłudze kapłańskiej wypowiedział się tak: „Gdy chodzi o duszpasterstwo studziańskie, zawsze wychodziłem z założenia, że winno ono być prowadzone nie tylko w aspekcie parafialnym, lecz także sanktuarijnym (ze względu na cudowny obraz), oratoryjnym w duchu św. Filipa (współpatrona głównej świątyni), a nawet bazylikowym, bo nie na darmo świątynia nasza otrzymała tytuł bazyliki. I te nurty duszpasterskie zawsze inspirowałem, łączyłem i mobilizowałem” (cytuje za: Stanisław Stanik, „Piewcy chwały Świętoroślinnej Pani”, Warszawa 2003, s. 102-103).

Ksiądz Nater był w Studziannie kronikarzem, piewcą miejsca świętego pieśnią i wierszem, ambasadorem wiedzy. Ksiądz kochał historię, wydobywał z niej wzory mogące przyświecać człowiekowi w dzisiejszemu, szukał w niej natchnienia. Poezję, pieśni i dramat, czyli sztuki pisarskie, traktował nie tylko jako źródło mądrości i rozrywki, ale także, a może przede wszystkim, zasad moralnych, patriotycznych, życiowych. Dzieje sanktuarium studziańskiego, przedmiotu jego kultur i posługi zgłębiał ks. Nater od początku swego pobytu w domu studziańskich filipinów. Uczył się ludzi, obserwując ich, zapamiętywał ich twarze, czyny, skrętnie przygotowywał się do działania, spiesząc im z pomocą. Poznawał dzieje miejsca i ludzi, dzieląc się swoimi wiadomościami w prywatnych rozmowach, na spotkaniach, na lekcjach religii. Z ambony głosił słowo Boże, nawiązując do miejscowych tradycji i zwyczajów, podnosząc ich znaczenie dla żywotności człowieka oraz dowartościowując je wiarą i modlitwą. Kiedy w 1928 roku po

kasacji zgromadzenia w Studziannie w 1863 roku, filipini znów powrócili na stare siedlisko, podjęli się oni prowadzenia kroniki, a znaczną rolę w kontynuacji tego dzieła odegrał ks. Władysław Nater. Zaczęła powstawać „I-sza Kronika XX w. Kościoła i Klasztoru w Studziannie” pod piórem takich księży, jak: R. Kmiecik, L. Pilch, J. Lewicki, J. Drewniak i właśnie W. Nater. Kiedy ogromne tomisko zostało wypełnione pismem, otwarto „II-ą Kronikę XX w. Kościoła i Klasztoru w Studziannie” a jej autorami stali się księża J. Lewicki i W. Nater, a po nim ks. Kazimierz Jelonek. Przerwa w zapiskach objęła kilka lat wojennych, kiedy to z obawy przed szykanami okupanta – z wiadomymi konsekwencjami – trzeba się było mieć na baczności. Kilkadziesiąt lat spisywał ks. Władysław Nater swoje obserwacje, oceny i uwagi, aż doszedł do tego, że pod koniec życia znał prawie każdego człowieka, trapiące go sprawy, większość kontaktów międzyludzkich i każdy zakątek parafii.

W przyszłości napisze obszerne „Wspomnienia”, w których ujmie swoje spotkania ze Studzianną (jeszcze w latach kleryckich), dopasowywania i wkomponowywania się w nią, swoje przymierze z nią. Nie będą na razie drukowane, ale jeśli ocalały, godne są upowszechnienia, tak są wiarygodne i przekonujące. Ale wcześniej, w latach 60-tych XX wieku, zaktywizował się jako propagator wysokiej rangi i znaczenia placówki sanktuarijnej. W latach sześćdziesiątych na kanwie wydarzeń z przeszłości okolic studziańskich prowadził w kościele „czytanki majowe”, a niektóre z nich drukował w prasie katolickiej. Szczególnie aktywny na polu propagandy, stał się czynny jeszcze bardziej przed rokiem 1968, to jest przed datą koronacji obrazu „Jezus, Maryja, Józef Święty”, któremu nadał nazwę obrazu „Matki Boskiej Świętorodzinnej”, by ta powszechnie się przyjęła.

W „Przewodniku Katolickim” w 1968 roku (nr 33) pisał na temat „Studzianna i 300 lat Filipinów w Polsce”, z kolei już bardziej doraźnie drukował artykuły w „Kronice Diecezji Sandomierskiej” (nr 6-7 z 1968) pod tytułem „W przededniu koronacji obrazu Matki Bożej w Studziannie”. Ukazały się inne materiały historyczne księdza w prasie polskiej. Jego praca powstała też w języku łacińskim, to jest „Miraculosa Image Sanctus Familiae sive Beatissimae Deiperae „Sacro-familiraise in villa Studzianna-Sanctuarium” (1967), i stała się podstawą do wydania przez władze kościelne decyzji publikacji o koronacji studziańskiego obrazu w dniu 18 sierpnia 1968 roku. W kulminacyjnym momencie uroczystości koronacyjnych, przy czynnościach okazjonalnych Prymasa Polski, ks. Stefana Wyszyńskiego i ks. kardynała Karola Wojtyły zabrzmiała jako pobudkantomata ułożona przez ks. Władysława Natera do muzyki prof. Stefana Wrocławskiego z Radomia, „O Pani Sanktuariów na polskiej ziemi”. Jej pełny tekst ma brzmienie pełne uroczystego natchnienia:

*O, Pani sanktuariów na polskiej ziemi, skąd
nasz ród, Maryjo,
Tyś wybrała nasz prosty lud,
by sprawić cud i łaską krzepić naród.*

*Któż nie czci Cię, o Pani, kto nie zna
miłych Twych przybytków?
W nich siejesz blask – posiadasz tron –
Maryjo, o śliczna Matko w Rodzinie
Świętej byłaś, jak postanowił Pan –
I w Nazarecie lśniłaś jak najcudniejszy Wian!
Przy Tobie pędził życia znój
nasz zbawca, Jezus drogi
I Józef Oblubieniec Twój, cnót
pełen, choć ubogi.
Spójrz na Swój lud, co poprzez wieki
dni tu Ciebie czci,
gdzie bije dzwon w spiżowy tron,
Tu płyną tży, miłość się skrzy!
Maryjo, Studzianny Opiekunko!
Niech Trójcy Świętej chwała wciąż
będzie za Twój czas!
A Ty racz przyjąć od nas na
skroń Korony dar.*

Stylizacja na język podniosły, staropolski dodawała potęgę blasku chwili nałożenia korony w sierpniu 1968 roku w Ogrodzie Studziańskim. Wszystko to znalazło potem odzew w mass mediach, a zwłaszcza w książce, która kapłan wespół ze Stanisławem Stanikiem pt. „Dzieje kultu Matki Bożej Studziańskiej” napisał.

Twórczość sanktuarijną ks. Władysława Nater uprawiał wszechstronnie, we wszystkich gatunkach, w różnych aspektach. Współpracował z organistami: Rosłańcem i M. Pasieczynskim, pisząc pod ich muzykę pieśni. Największe powodzenie zdobyła wykonywana od lat „Pieśń ku czci Świętej Rodziny”, która utrwaliła się w pamięci parafian i weszła do repertuaru w kościele studziańskim. Pierwsza jej zwrotka to majstersztyk zestroju słownego z rytmem:

*Rodzinie Świętej chwała, cześć i miłości śpiew
I służba życiem całym! Oto nasz gromki zew!
Niech Ciebie, Boże Dziecię, z Jezusem, z Matką
trwa
Rodziny wielbią w świecie, niech serca ku wam
lgną!*

Ks. Nater nie ustawał w wysiłkach wzbogacania repertuaru kościelnego o akcenty Maryjne, rodzinne, historyczne, nawiązujące do szczególnego miejsca, jakim była Studzianna. W ostatnich latach swego życia współpracował z kompozytorem i członkiem zespołu „Bazylikon”, założonym i prowadzonym przez ks. Kazimierza Jeloneka. Napisał pieśń „O, Filipie Neriuszu” (Filip Neriusz jest patronem ksiąg filipinów) i „Studziańska Matko”. Szerokim nurtem płyną słowa drugiej pieśni, wykonywanej przez zespół młodzieżowy:

*Studziańska Matko, Tyś Matką naszą,
wielu do Ciebie troski swe śle,
Modły wznosimy i Cię prosimy,
Studziańska Matko, gdy jest nam źle.*

Kapłan lubujący się w staroświecczyźnie, o czym świadczy dobór jego słów, przemawianie przez nowoczesne środki za pomocą przekonujących i obejmujących sposobów, miał talent wszechstronny, który wykorzystywał podczas posługi kapłańskiej. To on w wywiadzie udzielonym mi wyraził się: „co-

dziennie dziękuję za dar kapłaństwa”. W tym samym wywiadzie zwierza się z podróży, którą niedawno odbył do Ameryki. Powiedział: „Pierwszą taką podróż podjąłem w 1972 roku do USA na zaproszenie i całkowity koszt mego starszego kolegi ks. Mieczysława Gawrona – samolotem z Warszawy do Cleveland. Potem jeździliśmy autem przez 19 stanów z Ohio aż do Pacyfiku i inną drogą z powrotem”.

W tym czasie powstawała praca magisterska ks. Natera „Dzieje kultu Matki Bożej Świętorodzinnej do czasów rozbiorowych” (1974). Było to ukoronowanie dwuletniego studium pastoralnego, które skończył rok wcześniej. Studia pozwoliły mu „przepracować” naukowo problematykę studziańską, a poza tym zapoznawały gruntowniej z prądami teologicznymi ostatniego Soboru. Kapłan ten, który z „urzędu” i z „upodobania” zajmował się Studzianną, teraz chętnie podróżował, zawiązywał już pierwsze kontakty zagraniczne. Po niedługim czasie od powrotu z USA odbył wyprawę do Niemiec Zachodnich na zaproszenie tamtejszych oratorianów (filipinów). I tu spotkał się z wielką gościnnością oraz pomocą finansową.

Dwa razy delegowała go Kongregacja na Kongres Filipinów do Rzymu (1975, 1983), natomiast w 1976 roku wysłano go na spotkanie oratoriańsko-filipińskie do Paryża. Dawał sobie radę pod względem językowym, posługując się dość swobodnie łaciną, językiem francuskim i niemieckim. Przyjmowano go tam jak „ubogiego krewnego”, to znów przedstawiciela uciskanego przez komunistów kościoła, tzw. szczątkowego humanistę. Ksiądz Nater poszerzył i pogłębił swoją wiedzę o świecie, zainteresował się nowymi nurtami teologicznymi i filozoficznymi, nabrał chęci do uprawiania twórczości. A był to trudny okres dla księży piszących, bo poza literaturą religijną prawie nic nie wydawali. Pierwszą opublikowaną książką był „Przewodnik Sanktuarium w Studziannie”. Zawierała ekstrakt wiedzy o środowisku sanktuarijnym w Studziannie, gdzie znalazły się wiadomości o najstarszym kościele pw. św. Józefa, kościele usytuowanym na Dziewiczej Górze pw. św. Anny, kościele sanktuarijnym pw. św. Jana Chrzciścila i św. Filipa Neri. Najwięcej miejsca zajął opis historii wnętrza tego kościoła: jego 13 ołtarzy, malowideł, dewocjonaliów, napisów na tablicach ściennych, klasztoru. Do tej pory przewodnik jest niezastąpiony przy oprowadzaniu pątników i turystów po sakralnej części Studzianny.

Ksiądz Nater interesował się żywą literaturą piękną. Dużo czytał, szybko zapamiętywał, pisał teksty własne. Dla uświetnienia 300-lecia przybycia księży filipinów do Sanktuarium w Studziannie i początku sprawowania opieki przez nich nad nowym środowiskiem, napisał dramat „Pierwsi Filipini w Studziane” (1973). Rzecz zbudowana jest w trzech aktach i obejmuje sceny wydarzeń historycznych, z wizytą króla Jana III Sobieskiego właśnie. Na kartach dramatu pojawiają się księża, zdun Mularz, który zapoczątkował kult obrazu „Jezus, Maryja, Józef”, ojciec Papczyński z Marianów, dworzanin

(Dokończenie na stronie 10)

Władysław Nater

(Dokończenie ze strony 9)

Kwinacki itd. Obok postaci przejętych z historii występują fikcyjne, ale całość chce sprawiać wrażenie wiarygodności. Ten dramat ukazał kunszt sceniczny ks. Natera i gdyby nie tradycyjna jego forma, mógłby i dziś być użytecznym. A powinien, bowiem uległszy sprawdzianowi sceny, gdy młodzież poświętniańska go wystawiała, ujawnił duże możliwości teatralne.

W późniejszych latach poeta-ksiądz ułożył „Poczet Filipinów w Polsce” – zbiór o zacięciu informacyjnym, encyklopedycznym. Ujął w nim najważniejsze daty i wydarzenia z życia każdego filipina żyjącego w naszym kraju. Był to zestaw przydatny na różne okazje, w którym nazwiska nie powinny umknąć pamięci, aby zachować świadomość rozległego życia zakonnego, z kolei anegdotą jest fakt, że prawie wszystkie te wydarzenia i daty ks. Nater znał na pamięć. Był aktywny, jeździł po kraju, często odwiedzał najbliższe okolice.

Najbogatszą w wiedzę o świętym miejscu studziańskim jest książka dwóch autorów: ks. Władysława Natera i Stanisława Stanika pt. „Dzieje Sanktuarium Matki Boskiej Świętorodzinnej” (1992). To właśnie oni jako pierwsi podjęli się zagłębienia tematu z podejściem naukowym, w pełni krytycznym. Pragnęli objąć stanem badań wszystkie wcześniej wydane prace oraz niepublikowane teksty źródłowe. Doskonale pomogła w ustaleniu ciągłości zdarzeń znajomość łaciny przez ks. Natera, który w dużej mierze odszyfrował zapiski kronikarskie ks. Stanisława Sannera z II połowy XVII wieku. Pomocne okazały się też archiwalne, unikatowe książki.

Praca składa się z dwudziestu kilkunastostronicowych rozdziałów, które w ujęciu chronologicznym, poczynając od czternastego wieku, pokazują powstanie kościoła w Brudzewicach, założenie w obrębie parafii wsi Studzianna i wsi okolicznych, wyłonienie się sanktuarium, jego rozwój i form aktywności, życie zakonne i środowiskowe, formy hołdów składanych Matce Boskiej Studziańskiej, na nadaniu nazwy bazyliki mniejszej kościołowi głównemu kończąc. Książka Władysław Nater dla takiego ujęcia tematu sięgnął do różnych rękopisów (pomijając druki), odnoszących się do prowadzenia działalności gospodarczej, duchowej i posługowej wobec okolicznych miejscowości. Często z błahych zapisków (tzw. notysek czy aktów kancelaryjnych) potrafił przyczynić się do powstania pracy bardzo bogatej w fakty i wydarzenia, a do źródeł podchodził krytycznie, snując w oparciu o nie własną wersję historii czy losów, czasem nietrafną (np. świadome pominięcie biskupa Jana Zbąskiego, składającego wizytę Ojcu Świętemu, Klemensowi XI, w trakcie której poruszył sprawę sprowadzenia zakonników do Stu-

dzianny).

Dzieje Sanktuarium przedstawiają trzy wieki powstawania środowiska, zainicjowanego niegdyś budowlą świątyni w Brudzewicach (1321). Dzieje Studzianny zaczęły się z końcem tego samego wieku, a należy to prawdopodobnie wiązać z osadnictwem śląskim. Pierwsze niezwykle wydarzenia związane z obrazem z dworu studziańskiego „Jezus, Maryja, Józef” miały miejsce w czasie najazdu szwedzkiego. Widzenie Cudownej Pani z obrazu miał Wojciech Lenartowicz ze Smardzewic, zwany Mularzem. Liczni pątnicy przybywali do cudownego miejsca, a miejscem tym była Panieńska Góra, gdzie zginęły dziewczęta z Małoszyc w obronie dziewictwa. Powstała kaplica, klasztor, przybyli filipini ze Świętej Góry. Pod koniec XVII w. zaczęto wznosić okazałą, wyniosłą, barokową świątynię, przez co losy świętego obrazu złęczone zostały z kościołem. Dział będąc się tu liczne cuda. Przybywać będzie mnóstwo pielgrzymek, powstanie wiele przedmiotów kultu. Księża filipini przeżyją ukaz zakazujący im sprawowania powołania po Powstaniu Styczniowym (1863), powrót tryumfalny do Studzianny (1928), koronację świętego wizerunku w 1968 roku. W ostatnich uroczystościach czynny udział brał ks. Nater, który posługiwał podczas koronacji obrazu ks. kardynałowi Prymasowi Polski, Stefanowi Wyszyńskiemu, i ks. kardynałowi Karolowi Wojtyła. Wielkie są zasługi ks. Władysława Natera dla Studzianny. Wiele lat spędził z piórem w rękę, by rozświecać tę przybraną ziemię za swoją. I przy tym czuł się przede wszystkim kapłanem. Kiedy zapytać niektórych twórców, czy czują się bardziej literatami czy księżmi, często zawahają się. A ksiądz Nater nie miał wątpliwości, że jego pisarstwo trwało na służbie świętości, cnoty i ufności Bogu. Służbę tę traktował bardzo obszerne, bo w istocie rzeczy był człowiekiem ciepłym, życzliwym ludziom wielkiej wiedzy, i cieszył się, że poświęcił się kapłaństwu filipińskiemu, które oznacza radość życia. Na ten temat tak się wypowiedział (Stanisław Stanik „Katolik” 20 IX 1992): „Filipińskie życie wspólnotowe bardzo mi odpowiada. Jest to swego rodzaju „namiastka” życia zakonnego, bez rygorów wynikających ze ślubów. Tu rozwija się wzajemna pomoc, można prowadzić rozmaite formy duszpasterstwa: parafialnego, rekolekcyjnego, naukowego, Maryjnego (gdy chodzi o Studziannę), ograniczona jest chęć bogacenia się, tak szkodliwego w życiu kapłanów, tworzymy filipińskie „oratorium”, to znaczy i „modlitewnię i głoszenie słowa Bożego”. I możemy kształtować ewangeliczne cnoty. A nad tym wszystkim wzlatuje radość świętofilipowa, tak znamienna u naszego Założyciela, św. Filipa Neri”. W istocie samej – postać ks. Natera, bogata w zalety i talenty, ujawniająca szerokie możliwości i ukształtowana na tradycjach humanistycznych – to postać renesansowa, potężna. Przez lata scalać jeszcze będzie swoje zasługi ziemskie, a na drugim brzegu na pewno też przyciągnie serca.

Stanisław Stanik

Jan Stępień

Wyspa tańczących kotów

Na mapie
mojej wyobraźni
odkryłem wyspę
tańczących kotów
Płasają powabnie
w świetle księżyca
i rytmu
sennego bluesa
A gdy księżyc gaśnie
tańczące koty
zastygają w bezruchu

Marzę o wyspie
tańczących kotów
Może kiedyś
mnie zaproszą

Annabella Conti

Dom spokojnej starości

Przekroczyłam próg domu
na portierni uśmiechnięty człowiek
jakby chciał unieść historię tego miejsca
nerwowym kąciem ust
W prawo, potem prosto, trochę po schodach
przecież windy nie ma bo po co im – mówił
Długi korytarz, białoniebiskie ściany wołały
głośno – lecz słyszeć się nie dało jak echa
który nie ma o co się odbić
Staruszka powolnym ruchem dłoni macha
długo jakby klatka po klatce myśli że to
córka czy wnuczka która odezwie się w końcu
pierwszym w tym tygodniu słowem
Cztery ściany wyblakłe jak twarze
mieszkańców
okna w pokoju otwarte przez które ulatuje
nadzieja



Rys. Barbara Medajska

Irena Nyczaj

Tacy sami...

Mam na imię Jan.

Za ścianą mojego rodzinnego domu mieszka człowiek, którego nienawidzę najbardziej na świecie – Piotr, mój bliźniak.

Ludzie odkąd pamiętam mówili:

– Ale jesteście podobni!

– Jak dwie krople wody.

– Jak dwie połówki jabłka.

– Jak...

Nie chciałem słuchać. Co ludziom do tego, co oni mogą wiedzieć.

Często dodawali:

– Wy to się musicie kochać! Wspaniale mieć takiego brata.

Czasem ktoś z młodzieży rzucał:

– Takiego klona!

Nienawidziłem brata od zawsze. Za to, że był nieustannie obok mnie. Klon.

Zauważyłem, że nosi takie same ubranka. Któregoś razu mama zmartwiona spostrzegła:

– Popatrz, Krysia (to starsza siostra), jaka dziura w spodenkach Janeczka. I w bluzeczce! Co to się stało? Trzeba zacerować.

– Nie opłaca się, mam. Wyrzuć.

– To w co go ubiorę?

– Jak to? Chyba ma jakieś inne rzeczy.

– Ale trzeba tak samo, jak Piotrusia...

– Niekoniecznie. Nie muszą identycznie wyglądać.

– Oj, Krysia. To przecież bliźniaki.

– I co z tego? Może nawet lepiej, żeby ich odróżniały chociaż ubrania?

Mama się zafrasowała. Nie bardzo wiedziała, co o tym sądzić.

Nie było trudno doprowadzić mojego brata do płaczu. Miałem mnóstwo pomysłów, które wprowadzone w czyn owocowały rykiem klona i pospieszną interwencją siostry lub mamy.

– Oj, Janeczku, dlaczego dokuczysz Piotrusiowi?! Popatrz, płacze przez ciebie.

Właśnie. Ale przecież nigdy go nie uderzyłem. Doszedłem do perfekcji w dręczeniu brata. Widziałem strach w jego błękitnych okrągłych oczach. W takich samych moich lęku nie było.

Odwracał wzrok.

Kiedy zachorował pierwszy raz, mama powiedziała:

– Popatrzcie. Są tacy sami, a tacy inni! Janeczek to okaz zdrowia, a Piotruś...

Wrócił ze szpitala odmieniony. Unikał mnie, był milczący, obcy. Jego twarz zroszona kropelkami potu odbijała się w moich oczach. I wtedy odwracałem wzrok.

Kiedyś wyciągnął rękę, aby pogłaskać psa. Mojego psa wilczura.

– Nie dotykaj! Nie patrz na niego! I nie mów nic, nie wołaj go! – Zacisnąłem pięści.

Brat patrzył na mnie, a jego niebieskie oczy pociemniały.

Po kolejnym ataku choroby trzeba było wysłać Piotra do sanatorium w górach. Musiał zmienić klimat. Odetchnąłem.

Nie opowiem całego swojego życia, bo i po co.

Weszliśmy w dorosłość oddzielnie. On chorowity, ciągle „słabował na płuca”, jak mówiła babcia, ustawicznie leczony, hospitalizowany, rehabilitowany.

Nie współczułem mu. Zajął mnie wreszcie moje własne życie. Życie bez klona. Gdy wracał z kolejnych pobytów w lecznicach, cała rodzina żyła jego zdrowiem, a raczej brakiem tegoż. Wprawdzie babcia pocieszała mamę, że z tego wyrośnie, ale chyba żadna z nich w to nie wierzyła. Był już dorosły, chociaż jeszcze bardzo młody. Było oczywiste, że Piotr nie będzie studiował i nie ożeni się pewnie nigdy. „Chociaż, kto wie, mówili zatroskani krewni i znajomi, nigdy nic nie wiadomo”.

Ożenił się niespodziewanie.

Pewnego razu przywiózł i przedstawił rodzinie miłą dziewczynę poznaną w sanatorium.

Po roku doczekali się córki, a wkrótce potem chłopców bliźniaków.

Dzieci rosły i rozwijały się wspaniale. Mój brat promieniał szczęściem.

Dziewczynka nie interesowała mnie zupełnie, a chłopcy... Przepadali za sobą, byli identyczni i nierozłączni. I zawsze ubrani inaczej. Moja matka, a ich babcia kiedyś zagadnęła synową:

– Czemu nie ubierzesz ich tak samo? Przecież to bliźniaki.

– Piotr nie chce. Wręcz mi zabrania. Bardzo tego pilnuje.

Moja matka nie mogła się nadziwić. Nie bardzo wiedziała, co o tym sądzić.

Nie miałem jakoś szczęścia do kobiet. Wszyscy uważali, że jestem piekielnie inteligentny. Skończyłem z wyróżnieniem studia na politechnice, dostałem dobrze płatną pracę. Byłem duszą towarzystwa, sypałem jak z rękawa dowcipami, czarowałem dziewczyny, które zmieniałem jak rękawiczki. Żadnej jednak nie udało się usidlić mnie na dłużej, choć próbowały. Do żadnej nie czułem nic więcej, niż pożądanie, które po krótkim czasie, spełnione, wygasało szybko jak jesienne ognisko na ugorze pod lasem.

Kiedy zerwałem z kolejną narzeczoną, mama powiedziała:

– Popatrzcie, są tacy sami, a tacy inni! Piotruś to samo szczęście i sukces, a Janeczek...

Piotr był zupełnie odmieniony. O chorobie dawno zapomnieli. Rozkwitał. W ich połowie domu rozbrzmiewały radosne głosy dzieci. I muzyka. Oboje z żoną, choć niewy-

uczeni, pięknie śpiewali, trzeba przyznać. I grali – też amatorsko – ona na skrzypcach, on na pianinie. Dzieci wtórowały im jak mogły. Babcia promieniała.

– Popatrz, Krysia, jak się kochają nasze maluchy!

To była prawda. Chłopcy nie rozstawiali się ani na chwilę. Prawdziwe klony. Razem się bawili, razem jedli i spali. Byli identyczni. Piotr mawiał:

– Chyba was nie rozróżniam. Ty jesteś Pawełek?

– Nie, tato – chłopczyk chichotał radośnie, nie podejrzewając ojcowego psikus – jestem Janeczek.

– A, Janeczek. To wspaniale! Kocham cię, Janeczku.

– A mnie, a mnie? – wołał drugi.

– Ciebie też, ciebie też. Kocham was obu bardzo! – I tulił w objęciach te dwa swoje szczęścia.

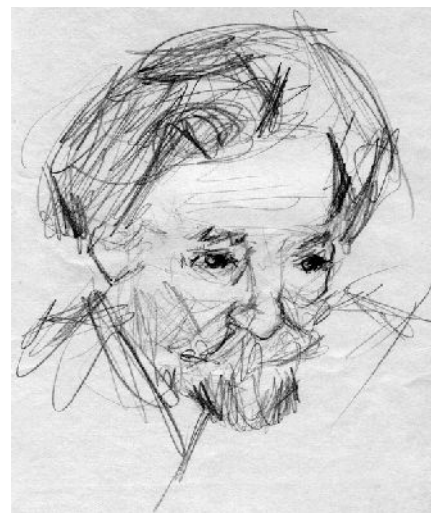
Janeczek... Dzieciak o moim imieniu. Z moimi okrągłymi niebieskimi oczkami. Mały drań.

Nie, nieprawda. To prześlizchny aniołek, miły i delikatny. Taki sam jak jego brat klon.

Patrzyłem na nich jak urzeczony. Doskonali. Cudni.

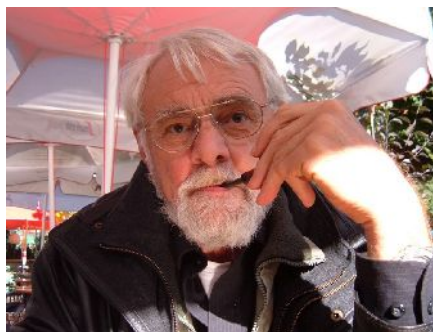
Mój klon całkowicie wyzdrowiał, a zacząłem chorować ja. Może dlatego, że paliłem jak smok, podupałem mocno na zdrowiu. Lekarze coś dostrzegli w moich płucach. Stwierdzono, że to nieoperacyjny guz. Dobrze chociaż, że mama, nie dowiedziawszy się strasznej diagnozy, odeszła do lepszego świata, gdzie zapewne spotkała się ze swoją matką – naszą babcią. I patrz teraz obie, zatroskane, na nasz wspólny, podzielony dom.

Za ścianą rodzinnego domu mieszka człowiek... lepszy.



Rys. Barbara Medajska

Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

Złowróżbne sny Humereska

Moja babcia Katarzyna upominała mnie dawno temu, abym uważniej i staranniej wpatrywał się w swoje sny. Należy je wypijać do ostatniej kropli... przebudzenia. Każdy z nas ma swoje sny, zaś noce aż skrzypią nieczytanymi do końca snami. Bywa, że rano wstajemy ze zduszonym gardłem i zalany krtanią. Innym znów razem uznajemy, że szczerść ich wyznania komuś, to byłby grzech. Są sny i których jest coś z przedrzeźniania, coś z rodzaju parodii. Budzimy się wówczas z uśmiechem na twarzy. Są sny, które potem wypełniają nasz czas, kiedy usilnie je rozpamiętujemy. Inne sny obwarowują nas smutkiem i rozpaczą, gdyż pełne są jakichś jam i przepaści. Sny pieniące się i musujące, kłębiące się i wrzące. Inne są niczym błysk flesza, który natychmiast zapominamy zwłaszcza, kiedy popatrzymy w okno.

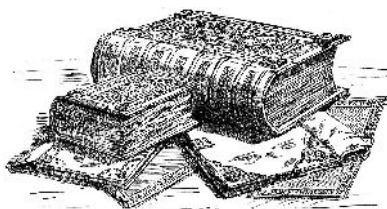
Ostatnio jestem bardzo zajęty. Oto kupiłem sobie sennik i każdego ranka ślęczę nad nim. Książka ta wypełnia mój czas. Może niepotrzebnie, gdyż większość opisywanych tam snów nie nadają za moimi snami. Usiłowałem, przełamać poczucie bezsensu mojego działania i nic. Przerzucam kartki sennika nadal. Zauważyłem, że moje życie w tym obserwatorium stało się życiem mnicha, albo pustelnika. Wywiesiłem, anons, że tłumaczę sny i teraz nie mogę uwolnić się od tych, którzy też mają sny. Moja pustelnia stała się gwarным targiem. Przełamałem poczucie bezsensu działania za sprawą hojnych datków za wytłumaczenie sensu snów. Na wszelki wypadek, aby uniknąć konkurencji, wykupiłem cały nakład senników. Interes rozwija się i mogłem dorobić do emerytury.

Do każdej pracy, jaką się podejmuję, trzeba odważyć. Rozreklamowałem firmę swoich billboardami w mojej gminie. Starożytni znali znaczenie snów w życiu człowieka. Wiedzieli, że radość ze snu uogólnia człowieka, boleść w snach indywidualizuje go. Ja wprowadziłem zgodę między światłem i ciemnością, jaką widzimy w majakach sennych. Miałem już swoich stałych klientów. Wśród nich najczęściej rencistów, bezdomnych, ale też studentów. Moja praca była spokojna, systematyczna. Ja powierzałem się słowom, które chcieli usłyszeć po analizie

sennych scen przeżywanych przez moich klientów. Aż pewnego dnia nadarzył mi się klient, któremu ja się przyśniłem. Opowiedział mi z detalami ów sen, a potem wylegitymował się z triumfalnym uśmiechem: – Policja Finansowa. Teraz siedzę po wyroku i pod całą więzienną tłumaczę sny współwięźniom. Ale to już nie jest interes, to rozrywka. W ich więziennych snach było jedno pragnienie – to wolność. Było ono też moim pragnieniem w kilku kolejnych snach. I przypomniała mi się jedna taka więzienna piosenka, którą zaśpiewałem mieszkańcom mojej celi...

*Dwunasta godzina na miejskim zegarze,
Wszyscy więźniowie, już śpią.
Nie wszyscy, nie wszyscy, bo jeden z nich marzy,
On widzi wolność za mgtą...*

Kazimierz Ivosse



Znowu był słoneczny dzień

Był słoneczny dzień. Tydzień temu rozpoczęły się wakacje. Przy osiedlowym śmietniku stała grupa kilkuletnich osiedlowych łobuzów.

Jeden z nich miał butelkę benzyny i właśnie powoli odkręcał zakrętkę. Drugi trzymał pudełko zapalek. Czekał z zapalką przy drasce. Czekał na odpowiedni moment.

Reszta pochyliła się przyglądając wyciekającą i jednocześnie zagradzając czarnemu kotu drogę ucieczki. Zwierzę chyba coś przeczuwało, bo zaczęło żałośnie miauczeć.

Był słoneczny dzień. Tydzień temu ich zatrudniono.

Podeszli do klatki świni. Ogłuszyli ją pałką. Nie było to zbyt mocne uderzenie – chcieli by się ocknęła we właściwym momencie. Związali tylne kończyny, przymocowali hak i podciągnęli ją w górę. Nieprzytomne zwierze zawisło w powietrzu.

Jeden z nich chlusnął zimną wodą i świnia oprzytomniała. Grupa pracowników rzeźni śmiała się w najlepsze. Jeden z nich miał nóż. Drugi podstawiał blaszany pojemnik pod zdeorientowane zwierzę. Reszta tylko przyglądała się wyciekającą. Zwierzę chyba coś przeczuwało, bo zaczęło żałośnie kwiczeć.

Był słoneczny dzień. Tydzień temu złapali go na pustyni.

Niewierny. Podobno jakiś znany dziennikarz.

Stali za nim zwartą grupą. Twarze posłaniane. Kazali mu powiedzieć do kamery kim jest. Potem wyrażali niewiernym.

Jeden z nich wyciągnął nóż. Porwany tego nie widział ale chyba zaczął coś przeczuwać, bo zaczął błagać o litość.

Pierwszy chlusnął benzyną na kota. Drugi błyskawicznie zapalił zapalkę i rzucił w kierunku zwierzęcia. Odszkodzyli, gdy buchnęły płomienie.

Smród palonej sierści i przeraźliwe miauczenie. Zwierzę rzucało się na oślep, jakby miało mu to pomóc.

Płonąca pochodnia ku ucieście oprawców wpadła na ścianę bloku i się od niej odbiła.

Śmiali się pokazując kota palcami. Zwierzę zatrzymało się i przewróciło na chodnik drżąc w agonii.

Ten z nożem przyłożył ostrze do brzucha miotającej się świni. Wprawnym ruchem go rozplątał.

Zaczęła kwiczeć tak przeraźliwie, że aż włosy stawały dęba. Ale oprawcy dobrze się bawili. Śmiali się patrząc na cierpiące zwierzę, któremu wnętrzności wraz z krwią zalewały pysk.

Po paru chwilach świnia znieruchomiała, skonała.

Ten z nożem wprawnym ruchem przejechał porwanemu po gardle.

Ofiara w niemych przerażeniu wpatrywała się w kamerę dławiąc się własną krwią.

Oprawcy byli zadowoleni, pokrzykiwali raz po raz „Allachu Akbar”.

Umierający usiłował coś powiedzieć, otworzył usta, zamknął, znowu otworzył, ale oczywiście z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Krew tryskała z tętnicy i spływała mu po ubraniu.

Po chwili upadł. Umarł.

Chłopcy nie byli świadomi tego, że nagrała ich kamera monitoringu miejskiego i właśnie wysłano do nich patrol. Niedługo zszokowani rodzice dowiedzą się, jakimi potworami okazały się ich dzieci. Potem będą się długo zastanawiać, co zrobili nie tak – czy poświęć im za mało czasu, a może to wszystko przez brutalne filmy i gry?

Pracownicy rzeźni nie byli świadomi tego, że nagrała ich kamera, którą zainstalowano dzień wcześniej. Za chwilę zostaną wezwani do kierownika. Zwolni ich ale nie nagłośni sprawy. Nie potrzebuje skandalu. Potem długo jeszcze będzie się zastanawiać, jak mógł nie dostrzec w tych pozornie sympatycznie wyglądających ludziach potworów w ludzkiej skórze?

Terrorysty byli świadomi, że wkrótce zaszokują cały świat. Za kilka chwil materiał zostanie zgrany do laptopa, a potem wrzucą go do sieci. Niewierni jeszcze długo będą się zastanawiali dlaczego do tego doszło i czy można było temu jakoś zapobiec. Ale najważniejsze, że będą przerażeni.

Krzysztof T. Dąbrowski

Kozetka (49)



Krótko mówiąc. Sisu. Delegacja. Golden hour.

*Ten rok się dopiero zaczęł,
a już się ciągnie.*

(Janusz Głowacki)

Joanna Friedrich

O tej porze roku nie ma nic ważniejszego niż sztuka delegacji i sztuka pakowania.

Żyjemy w czasach, kiedy sztuką może być wszystko.

Zawija się w to pojęcie rzeczy najbardziej prymarnie i najpodrzedniejszej.

Rzeczy eleganckie i wypłowiałe. Jak czas.

Clou dzisiejszego programu jest „golden hour” czyli złota godzina, ukochana przez fotografów i ekshibicjonistów. W sumie, jak mawiają niektórzy, mogą to być nawet dwie godziny dziennie: Ta o zmierzchu i ta o świcie. Kiedy światło najpiękniej okala kontury obiektów i zdjęcia (w tym z wakacji, w tym na insta, w tym, żeby ukłuć eksa w serce) wychodzą najznakomitsze.

Taka godzina jest jak golden retriever. Lubią ją wszyscy. Pasuje każdemu.

Życie, oczywiście, nie składa się z samych takich godzin, ale żyjemy w czasach, kiedy uparcie twierdzimy, że tak jest. Dowodem mają być streamingi naszych śladów w mediach społecznościowych.

Nasza oficjalna strona. Nasz ładniejszy profil. Wspomnienia oiekające słońcem.

Jednak to, w jaki sposób panujemy nad obydwojoma profilami w społeczeństwie obrazkowym i nad resztą godzin, w jego kuluarach, najbardziej daje nam w kość.

Potwierdza lub przeczy miłości własnej. Organizuje najbliższą przestrzeń, już nie tą off(f)icjalną, tylko naszą własną.

Od jednej z moich najstarszych przyjaciółek, na urodziny (nie liczę jej lat, ma tyle, co ja, ten przymiotnik dotyczy lat przyjaźni), prawdziwej korpo-wyjadaczki, dostałam manuskrypcik ze szkolenia dotyczącego gospodarowania czasem. Jak mówi, moja dentystka, Asia, najlepiej zorganizowanymi kobietami są mamy kilkorga dzieci, za wzór podając swoją asystentkę, mamę dzieci, sztuk pięć; ja jednak lubię się uczyć i pokornie przeczytałam zadaną lekturę... (Za impuls do tematyki prezentu pewnie posłużył przyjaciółce fakt, że zwierzyłam się jej ze snu, w którym słatam na rakiecie do tenisa, niczym nowoczesna wiedźma na miotle – uznała, być może, że potrzebuję prawdziwego przyspieszenia, prawdziwej rakiety).

Upodobałam sobie fragment o „delegacji obowiązków” i teraz dzielę się nim z Wami, mamami, korpo-mistrzami i całą resztą nas, która chce sobie coś, z okazji wakacji, na przykład, zorganizować w czasie.

Otóż delegacje, to nie tylko szkolenia (z m.in. organizacji czasu, prezentacje, kolacje i dwuznaczne sytuacje jak z filmu. Delegować można nie tylko osoby, ale i obowiązki – mówi manuskrypcik. I jest to, oprócz delegacji z pracy, jakiś sposób na lato. Można zyskać dzięki niemu całkiem niezłą ilość „golden hours”. (Zmieszczą się w każdym sakwojażu, a są przydatne bardziej niż kuse majteczki w delegacji.)



Czas to pieniądź wszakże.

Bywam z nim na bakier, bo cofanie nie jest moją mocną stroną, ale zmiana zdania – już tak.

I tu przyszło mi odwiedzić drugą z Eliz, jakie znam. Okazuje się, że Elizy (pierwsza z nich to moja masażyстка, która, na podstawie swoich doświadczeń z kobietami, mogłaby napisać grubszą książkę ode mnie) mają w sobie coś, co Finowie nazywają „sisu” – „człowiek z sisu podejmuje wyzwania i utrzymuje wysoki stopień adrenaliny. Sisu to działanie, nieustanny wysiłek, który daje poczucie wolności.” I ta nowa Eliza mówi mi to samo, co pierwsza:

„Przeznaczenie istnieje, trzeba tylko uważnie słuchać intuicji...” I wtedy ja, rozkręcona-rozpędzona, zadaniowiec w akcji, przysiadam na chwilę, i faktycznie, „chyba jeszcze raz zmienię zdanie”.

Może wtedy domiar godzin nie będzie mi potrzebny i zmieszczę się w swoim czasie, jak w dobrze skrojonej sukience?

Może spakuję się, wyjątkowo, za jednym zamachem, rolując wszystko w ruloniki i pakując tylko to, co się nie gniece?

Może, idąc za radami eko-modystów, w tym sezonie wezmę tylko bagaż podręczny, na miejscu kupując wszystko to, co potrzebuję, na pożegnanie rozdając tubylcom, a resztę zostawię sobie jako pamiątkę z wakacji, poza sezonem wakacyjnym nie kupując już nic więcej? W tej sposób, golden hours namnożą się w moim grafiku jeszcze bardziej?

Może, faktycznie, dwie z tygodniowych godzin zajęć pozalekcyjnych dla dzieci powinny być – te z rodzicami, z czegoś w czym rodzice są dobrzy, i, co lubią robić najbardziej?

A dwie inne, tylko dla rodziców, po oddelegowaniu dzieci, mogą posłużyć zainteresowanym lepiej niż SPA. Jeśli wiecie, co mam na myśli. Może, o ironio, delegacje służbowe nie będą już wtedy potrzebne?

Resorts – to kolekcje podróże, i choć gospodarze domu mody Niny Ricci zrobili wszystko, żeby uczynić ją jak najbardziej przestrzenną – jest mi najbliższa, jak ciało – wymarzona koszula. (Do pakowania, paradoksalnie: nie najłatwiejsza. Zwłaszcza kape-lusze.)

Dużo tu krągłości, kobieta jest jak kula, a ja pędzę, nie zatrzymując się, choć z czasem dostrzegam wszystko coraz wyraźniej.

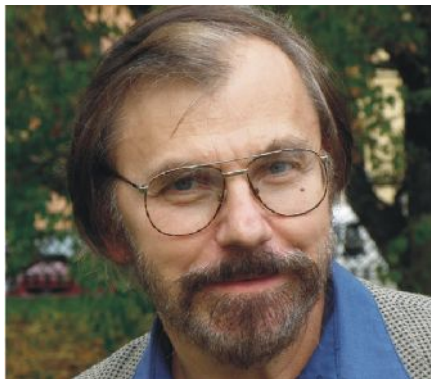
Czy tak ubierałaby się Miss Golden Hour? Okrągła i nieprzenikliwa? Jak czas.

Królowa Czasu.

Ty.



Listy do Pani A. (133)



Wiagrak

Droga Pani!

Byłem na imprezie literackiej, na którą czekałem przez cały rok. I znowu przede mną dwanaście miesięcy oczekiwania. Wie Pani, o czym piszę? Oczywiście, o plenerze literackim w Staszowie, który cyklicznie organizuje Staszek Nyczej.

Impreza odbywa się w pięknym miejscu. Jeślibym powiedział Pani, że w szkolnej bursie pustoszącej zawsze z początkiem wakacji – jeśli bym tak powiedział, to w żadnym przypadku nie oddało by to owego piękna. Budynki szkolne mieszczą się bowiem w parku pełnym starych drzew, trawników, słońca i cienia – co kto lubi. Przyjeżdża się tam z podwójną przyjemnością: właśnie dla tego miejsca oraz ze względu na atmosferę spotkań. Staszek potrafi tak zorganizować wszystko, że jest część merytoryczna: czyta się wiersze, promuje najnowsze książki uczestników; i jest czas na towarzyskie spotkania, rozmowy, wycieczki do ciekawych miejsc na Kielecczyźnie.

Tym razem wszystko zaczęło się od wieczoru poetki Aleksandry Fidziańskiej. Autorka świetnie czytała swoje wiersze. Liryczne, refleksyjne, świadczące o dużej wrażliwości, wiedzy o życiu i naturze człowieka, a przede wszystkim o znacznym opanowaniu warsztatu poetyckiego. Nie ma w tej poezji czułościowości, kwiatków, motylików w brzuchu (i gdzie indziej). To wiersze skłaniające się w stronę głębszej refleksji nad życiem, miejscem człowieka w świecie. Słuchałem zafascynowany niczym wąż fujary zaklinacza... Ale była jeszcze inna niespodzianka. Oto okazało się, że poetka Aleksandra śpiewa. Tu również mnie zachwyciła dykcją i melodyjnością głosu. Taką to ucztą poczęstował nas Pleneru dzień pierwszy.

Potem zaprosiła mnie Joasia Rzdokiewicz do pokoju, który dzieliła wraz z Rafałem Nowocieniem, na znakomite wino. Rozmawialiśmy o dawnych i obecnych czasach, wspominaliśmy niezapomnianą Annę Kajtochową, Tadeusza Śliwiaka oraz innych poetów tworzących atmosferę Krakowa, a i dzisiejszych krakowskich twórców, jak Andrzej Krzysztof Torbus, Andrzej Warzecha, Jerzy Gizella, Stanisław Stabro, Adam Ziemiński, z młodszych choćby Krzysztof Li-

sowski czy Jadwiga Malina. „Obmawialiśmy” też Beatę Annę Symoń, która jest muzą poetów, organizuje spotkania poetyckie, m.in. w lokalu „Pod Katarynką” prowadzonym przez Wioletę i Marka Cichoniów.

Wieczory są zawsze poświęcone poszczególnym uczestnikom. Wysłuchaliśmy zatem wierszy, fraszek, aforyzmów oraz medycznych przygód Jana Lechickiego, z którym również i w tym roku dzieliłem pokój. Choć już po raz kolejny słuchałem tych samych opowieści, nie nudziłem się wcale. Jan potrafi mówić ciekawie, wzbogacając swoje opowieści o coraz to nowe elementy. A jego szpitalne perypetie z pacjentami (jest lekarzem od kilkudziesięciu lat) zawsze są zajmujące i podszyte humorem. Lechicki to świetny gawędziarz. Nie mówię o wierszach, bo za każdym razem są nowe, jak zwykle doskonałe.

Swoje utwory czytał Benedykt Kozieł. Ten poeta, mieszkający stale w Połańcu, rozwija się artystycznie z tomu na tom, powiedziałbym z wiersza na wiersz. Prosił mnie Staszek, abym tę promocję poprowadził. Zrobiłem to, choć ekstremalny upał roztopiał mózg i wszystko inne... Przybliżyłem zebrany jego wiersze, a Benek siedział zawstydzony, robił wrażenie, jakby chciał się zapaść pod ziemię. Gdyby był królem, mógłby nosić przydomek Benedykt Skromny, albo Benedykt Wstydlivy. A przecież to świetny poeta, którego wtórność wykroczyła już daleko poza region.

Kolejne wieczory były poświęcone m.in. poezji Barbary Gajewskiej, Eli Jach, Anny Zakrzewskiej, Joanny Rzdokiewicz, Zosi Walas.

Deserem była promocja, wydanej akurat podczas trwania pleneru, książki Ireny Nyczej. „Wina” zawiera prócz świetnych wierszy, sześć opowiadań oraz dosyć obszerny wybór haiku. Irena dosyć oszczędnie dotychczas prezentowała się literacko. Prócz publikacji prasowych a także w rozlicznych almanachach, wydawała, do tej pory (prócz rzecznej „Winy”) zbiór opowiadań „Zwid” (1992). Prócz tego jest autorką tłumaczeń z rosyjskiego. Bardzo polecam Pani tę niezwykle oryginalną książkę, pełną refleksji, humoru, świetnych spostrzeżeń. Irena Nyczej jest świetną obserwatorką, potrafi dostrzec coś istotnego w zdarzeniach pozornie banalnych. Z wielką swobodą przechodzi od warsztatu poetyckiego do prozatorskiego. Również do trudnego haiku. Pełen tremy poprowadziłem tę promocję. Świetne posłowie do „Winy” napisała Anna Maria Musz.

Staszek wpadł na pomysł, by zaprezentować również wiersze Ani, która nie mogła być na plenerze. Nawiasem mówiąc ta młoda poetka otrzymała niedawno odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Prezentacja poezji Anny znowu przypadła mi w udziale. Kiedy czytałem, zapadła cisza, wszyscy słuchali w skupieniu, a potem superlatywom nie było końca.

Towarzyszyła nam również wystawa rzeźby rzeszowskiego artysty Józefa Pałaca. Od Jadwigi Kupiszewskiej, również rzeszowianki, poetki i malarki, dostałem świeżo namalowany w Staszowie obraz przedstawiający malwy.

Jak już Pani pisałem plener staszowski ma swój niepowtarzalny klimat. Stali bywalcy dobrze się znają i świetnie czują się w swoim towarzystwie. Kilka lat temu powstała plotka, że Ania Musz jest w ciąży, bo nie pojawia się na spotkaniach. Dementowałem za każdym razem, ale chyba nie wszyscy w to dementi uwierzyli. Teraz Emilia Tesz zapytała mnie ni stąd ni zowąd: „Jak tam wasze dziecko?” Odpowiedziałem: „Ma już czterdzieści lat”. „Jak to?” – zdziwiła się wśród kłębow dymu poetessa – „Przecież Ania ma dopiero trzydzieści jeden. Na to ja z diabolicznym uśmiechem: „Ania Musz wszystko potrafi.”

Tak, od poetów można się wiele nauczyć. Pewna grafomanka, napisała kiedyś „pocałuj klamkę z drugiej strony”. Byłem olśniony poetycką odkrywczością, bo jak długo żyję nie wiedziałem, że klamka ma dupę...

Wróciłem po tygodniu obfitym w poetyckie wzruszenia do domu. Trwały jeszcze niemiłosierne upały. Poszedłem więc do sklepu AGD i poprosiłem o „wiagrak”. Był, nomen omen, na stojaku, z ładnymi błękitnymi łopatkami. Wywołało to początkowo konsternację, a potem wesołość. Niestety, zaraz potem upały (bez podtekstu, nie rozdzielać słowa) odpuściły. Nie miałem więc okazji użyć go w pełni. Mam nadzieję, że Pani się nie gorszy, a czytając przez tyle lat moje listy już się odpowiednio uodporniła...

Potem oddałem się lekturom. Przeczytałem „Sodomę” Frederica Martela. Włos się jeży i nóż otwiera w kieszeni. Rzecz o ekscesach rzymskich purpuratów, obłudzie, intrygach, bogactwach, chciwości. To istna świątynia Izdy, kapłani-bestie, mordercy i złodzieje. A naiwny ludek czci „eminencje”, o których czyta na pierwszych stronach gazet. Książka jest świetnie udokumentowana, daleka od szukania jakichkolwiek sensacji. Powinien to przeczytać każdy świadomy człowiek a zwłaszcza bezkrytyczny wyznawca.

Z powrotem w klimaty literackie wróciłem poprzez książkę Michała Rusinka. Świetna rzecz, pełna anegdot, dowcipna, przybliżająca postać Noblistki. Jakie wspaniałe odezwanie od rzeczywistości pełnej kretyńców. Wielka i skromna poetka, dowcipna, pozbawiona snobizmu, jaki dziś staje się powszechny w literackim środowisku. Ale Szyborska była wielką poetką, a nie nadętą młodopoezyjką wydmuszką. Rusinek pisze o niej niezwykle ciekawie.

I tak zawitał do nas sierpień. Co jeszcze wydarzy się do końca roku? Będę o tym pisał do Pani, a teraz pozdrawiam najserdeczniej –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Jak uwolnić się od strachu?

Coraz lepiej nam w Europie... Coraz bliżej... Ale i coraz dalej zarazem. Nie może być inaczej, kiedy słucha się niektórych polityków – posłów i senatorów. Zresztą czemu się dziwić, przecież do parlamentu ktoś ich w końcu wybrał...

Andrzej Dębkowski

Coraz częściej zanikają ważne znaczeniowo punkty odniesienia moralnego, ginie wiara, zastępowana bezkompromisowym broniem własnego przefermentowanego ego. Elementarne wartości człowiecze są upodlane. Nie jest to nic nowego i odkrywczego, gdyż tego typu zachowania opisywali już filozofowie ateńscy, i to kilka wieków przed narodzeniem Chrystusa. Cywilizacja nihilizmu sprowadza prawie wszystko do aksjomatu: – *Tak naprawdę nic się nie stało!* Wielkie to zagrożenie, bo zabija w ludziach potrzebę odwagi czystej – nieskażonej jadem ideologicznym – zachowań godnych człowieka humanizmu.



Rys. Sławomir Łuczyński

Ten brak poczucia własnej wartości próbuje zastąpić nawiedzeni cwaniacy, poszuku-

jącej własnej drogi „tożsamości”. Nie wiadomo tylko z kim – oprócz siebie – utożsamiają się.

Jesteśmy w Europie. W NATO od 1997 roku, a w Unii Europejskiej od 2003 roku. Po latach euforii, prawdziwej wolności i upajaniem się niczym nieskrępowanym podróżowaniem po starym kontynencie coraz częściej pojawiają się głosy, czy jest nam to teraz w ogóle potrzebne. Przodują w tym głównie politycy, którzy w swoim życiu, w przeszłości, „dzielnie walczyli” o wolną i niepodległą Polskę, a kiedy już ona przyszła, to nagle odwracają kota ogonem i chcą z niej wychodzić, chociaż nie chcą się do tego przyznać. Wprost przeciwnie głośno mówią, że bardzo im zależy, że miejsce Polski jest w strukturach europejskich. Jednak ich „troska” o dobro kraju na Wisłę przeraża. Nie jest sztuką powiedzieć „nie” dla samego „nie”, sztuką jest podać i przede wszystkim udowodnić słuszność swojej tezy. Przedstawić argumenty obalające tezy zwolenników trwania Polski w Unii Europejskiej. Ale żaden z tych „dobrodziejów” tego nie robi. Dlaczego? Bo żaden z nich nie ma zielonego pojęcia co proponować w zamian. – *Może Władystok?* – jak słusznie spointował kiedyś śp. bp Tadeusz Pieronek. Na niewiele to się zda, gdyż do nich nie przemawia już nic, nawet autorytet Ojca Świętego. Dla nich Chrystus także nie był Polakiem... Aż dziw bierze, skąd biorą się takie zachowania, chociaż z drugiej strony, gdy przeanalizuje się pewne fakty, łatwo daje się zauważyć, że to poglądy prawie pięciu milionów Polaków, zwolenników niezniszczalnego „biznesmena” z Torunia.

Francuski filozof, Andre Glucksmann mówił, że *zaraza jest najgroźniejsza wtedy, gdy zarażeni nic o niej nie wiedzą. Pełnię nihilizmu osiąga się zaś wówczas, kiedy pasuje się siebie samego na rycerza normalności i pracowitości.*



Rys. Sławomir Łuczyński

Trudno będzie więc walczyć z ideami zaślepienych pseudobojowników, udających przy tym kiepskich Rejtanów. Zresztą nie chciałbym ponownie słuchać ideolo-

gicznych haseł typu *Żydzi na Madagaskar* lub *Poeci do piór*. A tak na marginesie, przecież to robicie, od trzydziestu pięciu lat.



Rys. Sławomir Łuczyński

Wierzę natomiast, że zakorzeniony w człowieku odruch postępowania etycznego nie ulegnie dalszemu degradowaniu. Zależać to będzie przede wszystkim od szybkiego i prawidłowego rozwoju społecznego. Od tworzenia ładu prawnego, który będzie bronił nas i naszych pryncypiów demokratycznych, które z taką siłą próbuje wyssać z nas państwo, a przede wszystkim jego przedstawiciele. Wprowadzanie złych obyczajów stwarza rozdrażnienie społeczne i wykształca w narodzie apatię do władzy – wprowadza brak zaufania publicznego. Rozwój tego stanu powoduje, że ludzie nie chcą czynnie uczestniczyć w tworzeniu i rozwijaniu systemu demokratycznego. Wiara, że czas leczy rany, nie ma w tym wypadku żadnego zastosowania. Urażona społeczna dumna umacnia tylko antagonizmy i na trwałe wprowadza elementy ludzkiej pasywności. A my, przytłoczeni ilością elektronicznych informacji, nie jesteśmy w stanie – jak na razie – znaleźć drogi wyjścia z nienormalności. To woda na młyn dla głosicieli jedynych i niepodważalnych prawd, których – niestety – przybywa wraz z każdą źle zorganizowaną inicjatywą społeczną. Do głosu coraz częściej dochodzą ludzie niewykształceni i w pewnym sensie ograniczeni, przerabiając własne klęski życiowe – w maszynach do ubezwłasnowolnienia rozumu – na frustrację, agresję lub coraz częściej na zwykłe chamstwo i głupotę. A przerażające komunaty zaklinaczy jedynie słusznej prawdy mają biednych i zagubionych ludzi.

Jak można mieć nadzieję, że młody inteligentny człowiek uszanuje wskazania etyki, które ponoć dyktują nam postępowanie?

Chciałbym jak najszybciej uwolnić się od strachu, że kiedykolwiek przyjdzie mi żyć w państwie rządzone przez tych uzdrowiaczy. Broń mnie, Panie Boże, przed nimi. Teraz i w przyszłości...

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (41)

(fragmenty)



Bardzo przypadł mi do gustu ten tomiki gdy rozmawiam o nim czasem z autorem, zawsze podkreślam, jak zdumiewa mnie dysproporcja między profesorem Żurakowskim, znanym oratorem, który wszystko wie i umie o tym mówić, a Bogusiem – poetą, który bywa niesłychanie zdyscyplinowany, lakoniczny i tajemniczy w swoich przekazach poetyckich. Pieczołowicie dba o to, by w jak najmniejszej liczbie słów wyrazić jak najwięcej treści i broń Boże nie przegadywać wierszy, bo na wieloznaczności i zwięzłości metafor i obrazów polega ich urok.

No cóż, tajemnica poetyckiego talentu jest niezbadana...

20 stycznia

Trochę spotkań w związku z wydaniem książki „Podróż z tej i nie z tej ziemi” – i to udanych. Na każdym powyżej 100 osób (ostatnio w Skawinie – z pieśniarką Kingą Rataj i aktorką Bożenką Adamiak i w Tarnowie – z aktorem i pieśniarzem z Chicago Andrzejem Słabiakiem). Za parę dni jadę do Bydgoszczy (Cafe Pianola).

Zdarzają się jeszcze czytelnicy – choć jest ich coraz mniej – dla których ważna jest finezja języka, to, jak pisarz pisze, a nie tylko o czym pisze.

7-8 lutego

Znów dzięki uprzejmości ordynatora Henryka Łabzy zaglądano mi w szpitalu Rydygiera do tyłka i znów został przedłużony na czas nieokreślony termin ważności mojego życia.

W szpitalu przeczytałem z wielką przyjemnością „Dzienniki rowerzysty” Piotra Duraka, młodego 25-letniego mielczanina, o którym Sandauer może powiedziałby, że tryska talentem. Następca Stachury? Szkoda tylko, że tak jeszcze podobny do Stachury.

Wydaje mi się, że znów odkrywam w sobie chęć kontynuowania dzienników, które w ostatnim czasie zaniedbałem, tracąc wiarę i w sens ich pisania, i w siebie jako podmiot i przedmiot opisu.

Bardzo piękny film „Ludzie Boga”: naturalność stylu, zrównoważenie treści i formy, poezja niepokazowa. Film, który przeciwstawia się modom na krzykliwość i przesadną ekspresyjność, często sprowadzającą się do szokowania widza. Nakręcony przez reżysera z ateistycznego kraju, udowadnia, że i na początku XXI wieku można stworzyć piękny filmowy obraz w obronie wiary i tak zwanych fundamentalnych wartości wykpiwanych przez cyników i pragmatyków, co nie znaczy, że ma to być zaraz religijno-dewocyjna laurka w rodzaju filmów o naszym, skądinąd wspaniałym Janie Pawle II albo propagandowa agitka bądź horror w rodzaju filmu Mela Gibsona.

Przechodzi luty i powoli zaczynamy wierzyć, że już niedługo zrzucimy z siebie pęta szarości i wybijemy się na słońce.

Od roku prowadzę w witrynie internetowej „Poezja polska” comiesięczny internetowy magazyn kulturalny (filmik trwający dwadzieścia parę minut) poświęcony różnym okołoliterackim tematom. Aktor Tadeusz Malak, wspominając swego przyjaciela Zbigniewa Herberta, obdarował mnie „dekalogiem” Herberta. Nie wiem, czy i gdzie był drukowany. W każdym razie przepisuję niektóre przykazania, bo przypadły mi do gustu ze względu na typowy dla tego poety dyskretny angielski humor i zamszową elegancję sformułowań.

Z Dekalogu Herberta

1. Bogów nie należy wzywać na pomoc nawet w przypadkach krańcowych, bo wiem w tym czasie mogą być zajęci czym innym, a zbytnia natarczywość może wywołać skutek odwrotny. Poza tym jest rzeczą wątpliwą, by jakikolwiek komunikat ludzki mógł się przedostać do ich uszu, z powodu lawin, wybuchów decybeli, nie mówiąc o magnetycznych burzach.
2. Należy kochać bogów, bo to oczyszcza serca (...).
4. Modlić można się wszędzie. Najgorszym miejscem są świątynie. Panuje tam z duch (...).
6. W miłości zmysłowej należy unikać przesady, ale także nadmiernych skrupułów. Lepsza jest w przyrodzie para szczęśliwych kochanków niż powikłany związek subtelnych neurasteników. Zwłaszcza jego dzielna wersja, oglądająca ponury spektakl codziennych katuszy protoplastów.
7. Staraj się być szczęśliwym, bo tylko tacy ludzie mogą dać szczęście innym (...).
9. Unikaj ideologii, które obiecują ostateczne wyzwolenie ludzkości. Obdarzeni częstką wolności, powinniśmy ją natychmiast ograniczyć, ze względu na dobro bliźniego.
10. Istnieją tylko grzechy duchowe. W grzechy

chy ciała wpisana jest kara – paraliż postępowy rozpusztników, otłuszczenie serca zbyt lekkomyślnie biesiadujących, a dla donosicieli – platfusy.

Cielsko upokarza duszę

– Boję się śmierci, ale jeszcze bardziej boję się życia – powiedziała mi przez telefon ze Sztokholmu 85-letnia Maryla Tatarczuch. – To moje okropne cielsko upokarza teraz na każdym kroku duszę... a co będzie dalej! ? Wolę nie myśleć.

Kolejny rok

Przepiękny, utrzymany w szarej tonacji film brytyjski „Kolejny rok”. Apoteoza kochającej się, pogodnej pary małżeńskiej. Ich dom staje się latarnią morską dla rozbitków, samotników, których pełno dookoła nas. Świat współczesny rozbiegany, rozedrgany, znerwicowany potrzebuje Wielkiego Psychoterapeuty.

Każdy na coś czeka

Potwierdzona liczba śmiertelnych ofiar trzęsienia ziemi i tsunami, które nawiedziły Japonię 11 marca 2011 – przekroczyła 10 tysięcy. W wyniku uszkodzenia przez kataklizm elektrowni atomowej Fukushima – napromieniowanie przekroczyło tysiące razy spodziewany poziom. Ponad 17 tysięcy ludzi uznano za zaginionych. Same nieszczęścia!

Z telewizora i komputerów jak z otwartej puszkii Pandory rozlażą się na świat czarne wieści: powódzie w Australii i Brazylii, wojna i mordy dokonane przez najemników Kadhafiego na rebeliantach (w Libii) i *vice versa*; tsunami, trzęsienia ziemi, niepokoje społeczne w Tunezji, a następnie w Egipcie, groźba choroby popromiennej...

Właściwie, gdybym nie był podobnie jak wszyscy uzbrojony w samoobronną grubą skórę, czyli znieczulicę, powinienem sobie strzelić w łeb. Bo równocześnie informacje dotyczące czynów pojedynczych ludzi też nie napawają optymizmem. Media faszerują nas złymi wiadomościami o gwałtach, mordach, małwersacjach, jakby człowiek nie zasługiwał, by pisać go z dużej litery.

Czasami cieszę się, że mam już tyle lat (64) i że za jakiś czas ten świat przestanie mnie w ogóle obchodzić, zniknie mi z oczu, a ja jemu.

...Odchodzi ochota dzielenia się myślami i uczuciami z kimkolwiek poza paroma najbliższymi osobami. Ludzie oglądają obrazki, myślenie nie jest w cenie, czytanie książek nie ma żadnej przyszłości, na nowe książki poetów i pisarzy nikt już nie czeka poza samymi autorami – nie zawsze – ich rodzinami...

cdn.

Słowo i jego sens poetycki

Motywy poezji często stają się zwątpieniem w sens tworzenia, utarte znaczenia wyrazów, ale i wartość osobistych inspiracji, ich werbalizacji. Z taką sytuacją mamy w przypadku tomiku autorstwa **Marka Basiagi** pt. „Requiem słowa. Tomik poetycki”. Ukazał się on po prawie dziesięciu latach milczenia poety i wydaje się, że ma klimat stosunkowo pesymistyczny.

W wierszu „Portret albo autoportret” dowiadujemy się, że autor ma obecnie duże problemy z rozwojem własnej tożsamości artystycznej i tak rozpoczyna ten utwór: *bo byłem kim byłem lub nie byłem / a może zupełnie kimś innym / od dziecka kapitalne i wszechstronne wykształcenie / od dzieciństwa niedouk i perwersyjna świnia / (...)*.

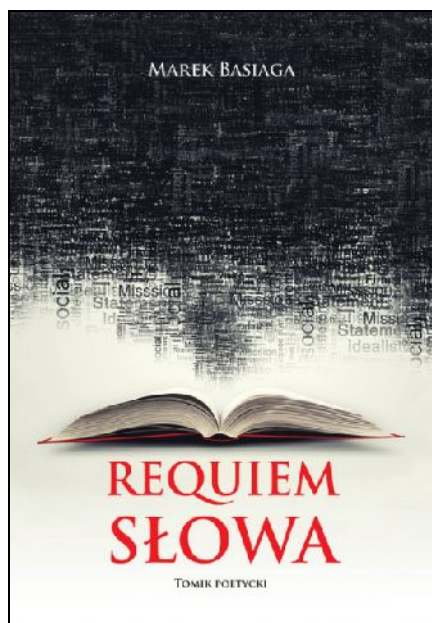
Widać, że dopiero po latach zrozumiał swoją złożoną i wielotorową osobowość powstałą z przeciwstawnych doświadczeń emocjonalnych, za którymi stoi osobista charakterystyka: *(...) był ultramieszczaninem z pochodzenia / prawie równo miał pomieszane pod sufitem / czasem zdrowo kłąt / wiele razy chodził na pielgrzymki / zdecydowany antykomunista / o lewicowych proveniencjach / ciągle myśli o wrześnie i powstaniu warszawskim / ma za nic literaturę i sztukę / podnieca go tylko sport / (...)* – tak właśnie obnaża swoją „nagą duszę” sędzi poety, z wykształcenia filmoznawca. Jest również autorem wielu esejów filmoznawczych, krytyk literackich, a debiutował w roku 1974 na łamach „Życia Literackiego”.

Basiaga pisanie poezji uważa za mało znaczący zabieg artystyczny, który nie ma żadnego wpływu na bieg losów świata, bo trafia do „hołoty”, „tłumu”, który postrzega poetę jako człowieka „szalonego” na autostradzie. Pomimo tego osądu, sam czuje się „prawdziwym poetą”, bo pisze mimo wszystko *jako prawdziwy poeta i tak nie wiesz co to prawo jazdy i obrona cywilna / bo o.c. co znaczący / nie warto więc pisać tego wiersza / ale człowiek był jest i najprawdopodobniej będzie tylko matołem / i musi wobec tego udawać sens swego istnienia tu i teraz – cholera / wiedziałem to po łacinie (...)*.

Nie trudno zauważyć, że autor nie ceni poezji biorącej za przedmioty inspiracji rzeczy i sprawy niepotrzebne, które w rozwijającym się i ewoluującym świecie przepadają w otchłani niebytu. I dlatego można przypuszczać, że zawarte w nich znaczenia już umarły i to dla nich należy zaśpiewać owo requiem. Poeta sądzi nadto, że sens poezji został znizony do rangi „zużytej szklanki” wyrzucanej do zrywania, bo utraciła swą moc katarską w świecie totalnej niewrażliwości na piękno. Do tego fascynuje go twórczość malarstwa Hieronima Boscha, w której widzi przedstawiony los poety współczesnego. Dla niego wiersz jawi się próbą wchodzenia we wspólnotę, by zrozumieć własne myśli z dzieciństwa: by człowieka i wspólnie-

te ująć słowem, czyli tak, iż poskłada ona w pewną całość jego wnętrze duchowe. Pomysł ten wziął się stąd, że świat zewnętrzny stał się dla autora obcy i przypuszcza, iż nic się w nim nie zdarzy, co wcześniej go podniecało i ekscytowało. W jego świecie wszystko się już zestarzało i wymieniane jest na nowe i czuje coraz wyraźniej, że opływa nas rwąca rzeka czasu i przemijania, które przypomina ów wariabilizm Heraklita. Nad nami natomiast pojawia się dzisiaj „metafizyka bez nieba rozgwieżdżonego” wbrew oświeceniowej idei Immanuela Kanta.

Niepewność znaczenia używanych słów oraz mowy stanowi dla poety trudny problem do rozwiązania. Powodem tego stanu jego ducha są nieustannie zmieniające się systemy polityczne gloryfikujące postprawdy i demagogię, ale i obserwacje tzw. patriotów, nie wiadomo przez kogo finansowanych, odbierające nadzieję na „lepsze jutro”. Jedyne „kaskady ziemi ukochanej” spokojnie czekają na nasze ciała – podkreśla. Autor więc pyta wielokrotnie jaki ma sens obecnie romantyczna postawa poety: pyta o to przysłowiowego Mistrza i Mefista i słyszy w odpowiedzi pochwałę Fausta, który zawsze „jest najszcześniejszym z ludzi mimo wieku”. Jego przykład, konstatuje poeta, dla normalnego człowieka nieosiągalny, *odmienił losy na naszą zgubę chwilowego szczęścia / na nasz zakłamaną w istocie pociąg do nieodwracalnego przemijania i ascezy / wiedzy / a nie szła poznania*.



Basiaga przy okazji dekonstruuje mit twórczący twórczości Andrzeja Bursy podkreślający „jak dobrze być poetą”, przypominając, że w jego poezji *wiersz powstał z katedry ciała / z mózgu i jego frazy paradoksu / z bólu sensu nadania i poetyka odbioru // nie kocha się dla nitki idei estetycznej tylko / ale i / dla pociągu relacji wrocław-kraków*.

Równie sugestywnie autor przypomina naszych nietuzinkowych poetów – Tadeusza Nowaka, Rafała Wojaczka, Tadeusza Różewicza, Ryszarda Miłczewskiego-Bruno. Wszystkie te utwory podejmujące dialogi z innymi poetami naładowane są ogromnym ładun-

kiem emocji egzystencjalnych; gniewu, po-dziwu, złości, przerażenia, szczególnie kiedy widzi się, że człowiek – podmiot liryczny – zamienia się w „przysłowiowego wilka” czyniącego przemoc, gwałt, zapominając o swojej śmiertelności. Przywołany w tym kontekście zostaje również Albert Camus i jego „filozofia absurdu oraz buntu”, z którą autor się w pewnym sensie solidaryzuje, choć obecne doświadczenia egzystencjalne nasycone są bardziej pesymizmem co do rangi i sensu twórczości poetyckiej. Wydaje się, iż ogląd pejzażu i horyzontów współczesnej poezji dokonany przez autora nie ma charakteru totalnej negacji, a jest również sygnałem do poszukiwań niestandardowych rozwiązań w tej materii estetycznej. Dokonania i sugestie Basiagi można również odczytać optymistycznie, gdyż po każdej nocy przychodzi przecież dzień. O tym zdecydowanie jednak wytrawny czytelnik.

prof. Ignacy S. Fiut

Marek Basiaga, „Requiem Słowa. Tomik poetycki”, Wydawnictwo Poligraf, Brzeźnia Łąka 2017, s. 120. (Książka wydana w Systemie Wydawniczym Fortunet, www.fortunet.eu)

Kilka słów z poczekalni losu

Niezbadane są wyroki poezji. Poezja jest jak lawa, zastęga nagle w czułości smakowania jakiejś przedziwnej konstrukcji słów. Słowa te działają, jeżeli mówią, albo wręcz przemawiają, jeśli mają jakiś tajemny wpływ na nasze życie, nasze *zatrzymanie się* i na chwilowe *oderwanie się* od ziemi, od tej ziemi. Wtedy właśnie niedostrzegalnie przekraczamy granicę sztuki i naszych odwiecznych poszukiwań piękna. Rodzi się zachwyt i rodzi się reakcja łańcuchowa erupcji uczuć. Rodzą się nowe myśli. Nowe przestrzenie. Pobudza wyobraźnia. Tak, tak to działa... tak działa poezja. Tak działają te obrazy, które ona wywołuje. Niezbadane są jednak jej wyroki. Czasami jest to poezja faktu, czasami poezja buntu, a czasem... poezja miłości.

Wielu dziś twierdzi, że poezja jest im do niczego niepotrzebna. Jakże dalece są w błędzie. Na każdego przyjdzie bowiem taki czas, taka chwila, kiedy poezja zastuka do bram jego życia. Kiedy pojawi się w nim, zapewne nieoczekiwanie, metafora istnienia, albo i dojmująca iskra nieistnienia i będzie wtedy jątżyrcy pustyni tam wytworzoną w miejsce... serca, czy choćby sumienia... czy w miejsce porzucenia poezji.

(Dokończenie na stronie 18)

Kilka słów z poczekalni losu

(Dokończenie ze strony 17)

Miłość jest zatem kluczem do poezji znanej Wam przecież wszystkim krakowskiej poetki **Ireny Kaczmarczyk**, jak i jest kluczem zapewne do poezji tworzonej przez wiele kobiet współczesnej polskiej poezji. Tyle, że klucze bywają przeróżne. Klucze to nie wszystko, aby wejść do świata poezji. Poezja bowiem ma wiele stopni wtajemniczeń. Ma wiele dykcji, które potrafią być jedynie zapisem emocji, stanów czy fascynacji. Krakowska poetka przekroczyła już dawno Rubikon kręgu wtajemniczeń i potrafiła znów zadziwić publiczność swoim najnowszym tomem i jego skumulowaną... **intymnością**. Jego ciszą, która jest jakoby uzupełnieniem wypowiedzianych słów, a która stanowi w swej istocie kolejny magiczny klucz do właściwego odczytania intencji Autorki. Ta cisza jest odpowiedzią, pewnego rodzaju jaskrawą wykładnią właściwych ścieżek dojścia do prawdy szczęścia.

„Intymnie” – tak zatytułowała poetka swoje najnowsze dzieło, które wydane zostało pod patronatem Biblioteki Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich w roku 2019.

Jeżeli ktoś zamierza mi teraz, z racji mojej działalności społecznej w kręgach krakowskich literatów, zarzucać nepotyzm jest w bardzo dużym błędzie.

Tom jest bowiem niezwykle apetyczny i broni się najzwyczajniej sam. Zapewne broni go też niezwykle liczna publiczność, która w sposób wręcz niespotykany na salonach poetyckich zaszczyciła niedawno jego krakowską promocję. Sala mieści ze sto osób, a przybyło ich znacznie więcej. Czy ktoś ostatnio widział taki fenomen ... jakkolwiek gdziekolwiek i kiedykolwiek? Mniejsza z tym. Skupmy się na poezji. (może jeszcze na marginesie powiedzmy, że echem owego nagłośnionego publicznie krakowskiego wieczoru stały się liczne propozycje dla Autorki organizacji podobnych wieczorów autorskich z całej Polski)

*Niosę Ci w dłoniach tego lata
Różę piaskową wprost z Sahary
Gałązkę wiatru muskającą
Powabną skórę nagiej plaży.*

*Rysunek cienia, który przysiadł
Na skrawku trawy pod cytryną
Za uchem słońca wiersz pisany
Z szafiru nieba odrobiną.*

*Tęczę tęsknoty z Hammamet
Przerzucam wiatrem poleconym
I pocałunek dżalabii*

*Pustyni skwarem wyłożony.
Niosę Ci jeszcze tego lata
Puls południowy wodnej sziszy
Byś sączył życie bez pośpiechu
Smakował czas w objęciach ciszy.*

Taka oto jest chyba najprostsza recepta na to nasze życie jak również na tworzenie poezji: sączenie ich razem bez pośpiechu i smakowanie swojego czasu w objęciach ciszy. To wcale nie jest takie łatwe w pulsującej chaosem współczesności, w objęciach żywiołu życia i jego objawów, w gąszczu społecznego schamienia i w okowach zdeformowanej dziś walki o ogień.

Ogień w nas się jeszcze tli. Pytanie jeszcze tylko – na jak długo?

Pomaga nam trochę w odkodowaniu tego tomu utalentowany krakowski krytyk literacki młodego pokolenia Michał Piętniewicz. Warto się wczytać w jego znakomite posłowie:

(...) poezja Ireny Kaczmarczyk stanowi swoiste antidotum na czasem zgrzebną niewdzięczną codzienność, pokazuje świat magii i marzenia, świat barwnych obrazów oraz cudownych dźwięków katarynek oraz stukających o bruk dorożek na krakowskim rynku, które można usłyszeć między wersami wierszy poetki.

(...) Najnowszy tom poetki jest z ducha dionizyjski, przyświeca mu duch biesiadowania oraz ucztowania w szale zauroczeń i zmysłowych splatań, jest to tom odważny, ale jakże z drugiej strony potrzebny, aby raz jeszcze unaocznić, jak ważna w życiu człowieka jest erotyka, która jednak zbyt łatwo poddaje się dzisiaj prymitywnej oraz taniej wulgaryzacji, miał być niejako „oswojona” przy pomocy sensualnego języka poezji oraz subtelnych ilustracji, świetnie odnoszących się do wierszy oraz do owego misterium damsko – męskiego, z którego biorą najczęściej początek nowe przygody oraz życiowe scenariusze, ujawniając w tym samym momencie niezwykle szeroki wachlarz życiowych możliwości oraz wielowymiarowość życia (...)

I tutaj odnajdziemy kolejny klucz do tego tomu. Jego niezwykłą apetyczność optyczną. Oprócz bowiem pięknej i zmysłowej poezji mamy w rękach wydawniczo-edytorską perełkę, która postanowiła uzupełnić wiersze niesamowitymi wręcz obrazami Pani Renaty Kulig-Radziszewskiej – krakowskiej artystki, malarki, której akwarele nie tylko zilustrowały tom, ale tchnęły w niego jakąś nową, niesamowitą wartość dodaną, kreację wręcz nowych światów dla obrazów i słów.

Poezja miłości spotkała się tu z poezją obrazu. Wytworzony nastrój jest być może właśnie receptą na metodę współczesnego dotarcia do odbiorcy. Istniejemy bowiem w świecie obrazów i w tym świecie pancerz i milczenie można przebić jedynie niekonwencjonalnością, a taką jawi się tu właśnie owa interakcja dla wyobraźni, niesamowity dialog poezji z obrazem. Dopełniają się one, czy wręcz wpadają w wir tańca i przyciągają nas jak magnes – weź ten tom do ręki, wnikiń weń, poczęstuj się... zatańcz z nami w szalonym tańcu metafory jakże bliskiej życiu. Skłonny jestem się założyć, że tom Ireny Kaczmarczyk wygrałby wszelkie konkursy na okładkę tomu poezji... a potem... potem już

wszystko w mocy słów...

Wróćmy jednak na moment do tego, co napisał Michał Piętniewicz w posłowie, udowodnijmy poniekąd, że miał słuszość:

*Lubię z Tobą zapalać latarnie
Kiedy Kraków gołębie usypia
Zmierzch ma zapach zielonej herbaty
Gdy mnie szeptem jesiennym dotykasz*

*Kanonicza ponętnie się wije
Wawel oczy z zachwyty przymruża
Twoje ramię całuje się z moim
Gdy jesiennie się do mnie przytulasz*

*Gwiazdy jadą dorożką do Rynku
Skry się sypią spod kopyt nocy
Przytuleni jak księżyc do nieba
Zagłdamy latarniom w oczy*

*Lubię Kraków ze skrzypcami na ramieniu
Szalik Plant otula miasto
Dorożkarz w nutach hejnału
Gubi stukot czasu*

*Lubię z Tobą zapalać latarnie
Kiedy Kraków gołębie usypia
Zmierzch ma zapach zielonej herbaty
Gdy mnie szeptem jesiennym dotykasz*

Właśnie ten, wyżej przedstawiony, wymiar poezji pozwala, jak w innym wierszu ujęła to poetka „nosić na rękach szczęśliwe chwile”. W wielu pozostałych wierszach, krótkich formach dobrze dobranych słów, odnajdziemy też ową kluczową dla życia i jego intymności wartość... przeżycia... właściwą sobie ciszę, która powinna towarzyszyć miłości, bo przecież miłość rodzi się w ciszy... Rodzi się w czymś, czego nadal nie potrafimy nadal i dziś nazwać i ta nieumiejętność jest od wieków tak fascynująca i potrafiąca skłaniać nas ku... poezji właśnie.

Rodzimy się wchodząc na drogę ku śmierci. Ten krótki czas dany nam niejako **pomiędzy**, w owej przedziwnej przestrzeni poczekalni losu wypełniamy pulsującą aktywnością, działaniem, dorastaniem, starzeniem się i przemijaniem. A przecież właściwym i najważniejszym kluczem do pojęcia i zrozumienia owej żmudnej drogi ... jest tylko i wyłącznie miłość. To przecież takie proste...

Warto zatem zauważyć tom Ireny Kaczmarczyk „Intymnie”. Warto po niego sięgnąć. Jestem też przekonany, że będzie to przebieg kobiecego odnajdywania się w poezji, a skądinąd wiem, że pozostała jeszcze w tym kraju pewna garstka sięgająca dobrowolnie po poezję, a w większości są to właśnie kobiety. Mam na myśli oczywiście czytelnika spoza artystycznego środowiska piszących...

„Intymność” jak się okazuje jest nam w dzisiejszych czasach niezbędna. Czasy te bowiem odarły bezlitośnie współczesnego człowieka z intymności właśnie. Odarły go też z właściwiej pojmowanej miłości, z godności, z poczucia sprawiedliwości i z wielu innych wymiarów duchowości. Może właśnie ten tom Ireny Kaczmarczyk jest pewnego rodzaju panaceum na owego świata brutalność i bezkompromisowość?

Może jest jednym z ważnych głosów wobec przemocy, alienacji oraz wytworzonej pustki? Może też jest, po prostu i najwyczejniej w świecie – okrucieństwem dobrej poezji, pewnym przystankiem na drodze, czy w końcu jest... kilkoma słowami, które warto przeczytać w poczekalni naszego losu...

Andrzej Walter

Irena Kaczmarczyk, „Intymnie”. Wydawnictwo Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, Kraków 2019, s. 112.

Usłyszeć i spisać modlitwę natury

Coraz częściej sięgając po tomy poezji współczesnej człowiek zadaje sobie pytanie, co stało się z najpiękniejszym działem literatury, jakim jest liryka. Nie chodzi o formę wiersza, bo sposób zapisu stał się adekwatny do sposobu myślenia człowieka żyjącego obecnie. Ale czasem zastanawia, gdzie zagubił się urok i urzekająca estetyka utworów z definicji zaliczanych do tego działu aktywności literackiej. Czy jesteśmy skazani na oznaczone szpetotą abstrakcje lub zalew książek podobno poetyckich, które usiłują dosłownie opisać świat, z treścią zero kalorii? Na szczęście okazuje się, że poza głównym nurtem promowanym przez znane media i tworzonym przez portale społecznościowe kołom wzajemnej adoracji można znaleźć perełki, co do których nie ma się wątpliwości, że są liryką na naprawdę wysokim poziomie, wiersze piękne, przemawiające do wyobraźni i zarazem zmuszające do myślenia, z konkretnym poetycko ujętym przekazem. Niewątpliwie taką perłą jest tom poetki z Opolszczyzny **Adriany Jarosz** „Modlitwy malowane trzciną”.

To już trzecia książka poetycka jej autorstwa, wcześniejsze tomy – „Rozdrożami” i „Niebo pachnące sianem” dały czytelnikom przedsmak tego, co odnajdujemy w „Modlitwach...” – dojrzałą, przemyślaną poezję. Adriana prowadzi czytelnika przez rozszepetane pola pszeniczne, owinięte mgłami łąki, skalny świat Tatr, ale i po bruku zabytkowych miast. Nie jest to jednak tylko puste zachwywanie się wyjątkowymi miejscami i krajobrazem, każdy spacer jest opowieścią, która zmusza do myślenia nad kondycją człowieka, nad upływającym czasem, nad tym co po nas zostanie. Tłumaczami obrazów, które widzimy są często osoby pogardzane przez moźnych tego świata – dzieci i dorośli w jakiś sposób upośledzeni przez los. Tylko Dyduk – wędrowny diad potrafi dostrzec to, co jest pod podszewką rzeczywistości – wyjęte z legend ubożęta i codzienne życie tętniące w głębi traw. Przeganiamy

przez ludzi mających się za lepszych tylko z racji tego, że mają dach nad głową i monety umożliwiające skorzystanie z karczmy ze wszystkimi jej atrakcjami śni o sakwie, w której można zmieścić człowieka. Czy tego człowieka, którego brakło w osobach napotkanych podczas wędrówki?

Dzieci i osoby uznane za niespełna rozum są jedynymi, które mogą dostrzec świat niewidzialny, zaludniony przez wyższe byty – w „Wariatce od gołębi” nikt prócz nich nie widzi aniołów utajonych pod postacią ptaków. I zapewne dlatego tylko ich modlitwa jest szczerą i dociera poza granice świata dotykającego. Nie ma narzuconego odgórnie rozumienia Absolutu, do którego płyną modły. Co prawda sama autorka widzi wokół siebie odniesienia do świata znanego jej osobiście i metaforyka wiąże się z chrześcijaństwem: *masz wrażenie że kłania ci się / przydrożna topola a potem / widzisz jak staje się gotycką / bazyliką* („Kolekcjonerka snów”), ale już na przykład w „Kościele w Herzmanowicach” obok niewątpliwie chrześcijańskiego Boga pojawia się słowiański Perun, którego kochanka Zorza otula śpiącą świątynię. Do kogo skierujemy swoje myśli i do kogo kieruje podziękowania za dar istnienia cała natura – pozostaje kwestią dobrowolnej interpretacji, Adriana pozostawiła w wierszach miejsce dla czytelnika. Ważne, by usłyszeć w otaczającym świecie głosy *nienabożnych / kołomyjek – zawierają mniej / fałszywych tonów niż niejedna / wielogłosowa kantata* („Modlitwa sztety”) czy dźwięki gór, które *niczym szarokapturowi mnisi / odmówią przedwieczną modlitwę ciszy* („Zapalcie nad Tatrąmi latarnie”) – podobnie jak jest to dane bohaterom wierszy.

Utwory nasycone są światłem i muzyką. Nawet noc nie przytłacza ciemnością – nad Tatrąmi rozpościera się Mleczna Droga, a mrok na krakowskich Plantach rozpraszają latarnie, zachęcając do szukania śladów człowieka. Dźwięki natury przywodzą na myśl aranżacje jazzowe czy koncert Szopena („Opowieść z mgły (pieśń Dyduka)”). I w takim świecie egzystują postaci nakreślone przez autorkę – i te rzeczywiste jak *górska Papusza* Teresa Bachleda-Kominek, której został poświęcony wiersz „Dusza poetki”, i te fikcyjne, które pozwalają się nam pochylić nad losem człowieka. Jak subtelnie i bez krzyku można wyartykułować nawet najtrudniejszą prawdę, najmroczniejszą historię. Mamy wiersz „Album”, gdzie poruszony został problem Holokaustu czy „Migdałowe drzewa” ukazujące rzeczywistość w Strefie Gazy. Wiersze wstrząsają, pomimo że nie użyto w nich ani drastycznych obrazów, ani mocnych słów. Myślę, że w uzyskaniu takiego efektu pomogło pokazanie zdarzeń z perspektywy tych, co ponoć głosu nie mają – dzieci. Adriana pozwoliła im mówić.

Historia miejsc opowiedziana jest z perspektywy ludzi, którzy kiedyś mogli je zamieszkiwać. Co pozostało po pokojówce-analfabecie ze strzeleckiego zamku? Możemy sobie tylko wyobrazić historię, tak, jak to robi poetka wędrując po materialnych pozostałościach przeszłości. Zatrzymujemy się i zastanawiamy nad czasem, który zatrzyma

się nie chce. Zegar tyka *czas nie poddawał się / a wskazówki podążyły / utartym szlakiem* („Zegar”) – i w tym rytmie upływa życie człowieka. Śmierć jest zatrzymaniem naszego indywidualnego czasomierza: *w najmnijszym pokoju stanął zegar / niepozorny lecz wyjątkowy swoje / requiem wybijał wybranym i tak zatrzymał się czas*, ale tylko dla jednej dziewczynki i jej cierpiącego ojca („Zegary z Irydionu”). Poetka zastanawia się nad momentem odejścia, bo przecież *i po mnie przyjdzie w chwili, której przewidzieć się nie da zdziwię się że to już / przecież mam jeszcze tyle / nie zdążyłam a mogę*. Trzeba żyć teraz, chłonąc to, co daje nam chwila, dziękując za każdy moment piękna i spotkania z człowiekiem – mocna refleksja, która pozostaje po lekturze wierszy. Trzeba również pamiętać, dając w ten sposób opór przemijaniu, bo w pewien sposób jesteśmy do tego predysponowani przez miejsce, w którym przyszło nam żyć: *gdyby Tycjan choć raz / spojrzął w jej (polskiej jesieni) miodowe / oczy dostrzegłby w nich / pamięć pokoleń i żal / że nie wrócił ci którym / zapalono znicze* („Jesień Tycjana”). Adriana pamięta i chwytą dla nas skrawki świata, które w jej ujęciu nabierają sielskiego, często bajecznego piękna. Kreśli je jak Dyduk modlitwę – trzciną, by uzyskać efekt impresjonistycznych pejzaży, na zawsze zostających w pamięci.

Joanna Słodyczka

Adriana Jarosz, *Modlitwy malowane trzciną*. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2018.

Angielskie klimaty poetyckie

Są takie miejsca na świecie mające określone klimaty kulturalne oraz przyrodnicze, które oczarowują poetów i dostarczają im silnych inspiracji pisarskich. Takimi miejscami spotykamy się niewątpliwie w Anglii (Londyn, Oksford), gdzie prócz specyfiki życia codziennego ważna jest atmosfera kulturowa wynikająca z kulturowania wydarzeń i dokonanych artystycznych w perspektywie historycznej. To przecież świat kultury zainicjowany przez Szekspira, Kiplinga, G.B. Show’a, inspirujący takich artystów jak: Nicholson, Leach, Shji, Gabo, ale i legendarne pisarstwo o przygodach kryminalnych Sherlocka Holmesa. Tu możemy spacerować po Coverd Markt i pójść na plażę St’Ives, przechodzić przez London Bridge, Boughton Market, koło Westminsteru i parlamentu, obok Tavistock Square i stacji londyńskiego metra. Tymi śladami podąża poeta tarnowski Zbigniewa Mirosławski, mający również w

(Dokończenie na stronie 20)

Angielskie klimaty poetyckie

(Dokończenie ze strony 19)

Anglii rodzinę brata Piotra, której życie w specyficznych klimatach również go inspiruje. I w związku z tym, po kolejnej wizycie na wyspach, opublikował tomik pt. „Zanim przemówią trawy” ubogacony znakomitymi zdjęciami z własnego archiwum oraz autorstwa Jana Boczara.

Wręcz z dziecienną fantazją poeta obrazuje swe przechadzki po Londynie i Oksfordzie, bo te miasta „nigdy nie śpią”. Ich mieszkańcy różnych ras przypominają, że Wielka Brytania była kiedyś wielkim imperium kolonialnym, choć obecnie stara się izolować od świata. Zauważa, że w tej kulturze przyroda (ta w przydomowych ogródkach i na skwerach) staje się dla mieszkańców najbliższym członkiem ich rodzin. Głębsza refleksja poety po kolejnej rozmowie z bratem prowadzi go do konstatacji, że wszystko, co istnieje, ale i wszelakie formy życia to nic innego jako pozostałość Wielkiego Wybuchu, na wytworach którego wiatr maluje kolejne formy naszej rzeczywistości. Z kolei w wierszu bez, kiedy poeta przybywa do Anglii dowiaduje się, że *Z lotniska jedziemy nocą / przez ulice Londynu. / To miast nigdy nie śpi? / Gra gamą kolorów, barwnymi reflektorami. / Na mokrym asfalcie rozlewają się powodzie: / czerwień, żółć i zieleń sygnalizacji ulicznej, / kolory reggae i Boba Marley'a. / Mijamy korty Wimbeldon'u, przypominają się backhand'y i forehand'y Murrey'a. / Mając za oddali olimpijskie stadiony. (...) „Przekroczyliśmy” całą Europę, / żeby po raz kolejny się odnaleźć tutaj. / Obejmować spojrzeniem: / Tamizy ciemne fale, ciężkie obłoki / przesuwające się wraz z deszczem nad polami, / polskie i angielskie marzenia / cementować, scalać doskonale, cał po cał.*

Autora oczarowuje również angielska mgła, widok przez szyby wieżowców ludzi społeczeństwa ekonomicznego sieci – „anonimowej „armii internetu”.

Ogromne wrażenie robi na poecie „zderzenie Anglii z oceanem”, obserwowane z plaży St'Ives, co prowadzi go do konkluzji, iż: *(...) Dorosnąć do oceanu / to na własnych nogach stanąć / trzymać w dłoniach swego losu żagle.*

Londyńskie ślady dawnych historii i wydarzeń nieustannie odsyłają do jego podziemi i toczącego się tam kiedyś życia. Tego typu refleksja pogłębia tożsamość mieszkańców tego miasta, ale i często odsyła ich do nie-bytu, kiedy nie przekroczą go własnym byciem, jak sugerował kiedyś M. Heidegger. Obserwowany świat bowiem odsyła poetę do konstatacji, że jego współczesność przypomina wielkie targowisko, i dlatego ceni sobie odpoczynek na ławeczce w cieniu wielkich drzew zaprzyjaźnionych z ludźmi.

Spotkanie z rodziną, która już wrosła korzeniami w tę kulturę, pociąga za sobą podziw, ale i pewną nostalgię za przeszłością, bo w ich mieszkaniach nie ma już symboli rodzinnej przeszłości, ale tylko standardowe sprzęty charakterystyczne dla kultury anglosaskiej. Refleksja nad tą kulturą prowadzi autora do konstatacji, że *(...) Pisząc i przemawiać językiem Szekspira / stawiamy się w nadzwyczajnej sytuacji. / Wszystko dookoła przemienia się / w teatralne rekwizyty. / Akcje zawiązują się w dramatyczne węzły. / Słyszymy głosy: Hamleta, / kumoszek z Windsoru, króla Leara. / Jak podczas spektakularnych przedstawień / ręce same układają się do okłasków, biją brawo.*

Z kolei baśniowy wymiar odwiedzanego Oksfordu wyjaśnia poecie fakt, że to tu powstała baśń o J.R.R. Tolkienie inspirowana urokiem tego miasta, choć można tu również poczuć zapach tytoniu z pubu Eaeatgate, z fajki J.R. Reuela. Równie zrozumiały jest dla autora wydźwięk piosenki Stinga – „Bądź sobą, nie ważne co inni mówią” – wyjaśniającą dążenie Brytyczyków do breksitu. To dążenie do izolacji służy bowiem wzmocnieniu sił integrujących rodziny, ale i przyjaźnie, dając równocześnie większe poczucie bezpieczeństwa, osłabiając lęk przed terroryzmem. Ważna w tym jest również muzyka, bo jak podkreśla poeta, określa ona formy koegzystencji ludzi na skalę światową: nie tylko łagodzi obyczaje, ale również integruje ludzi. Taki przykładem był dla poety koncert „Live 89” w Republice Południowej Afryki, który zmienił w znaczącym stopniu nastawienie ludzi i osłabił konflikty na tle rasowym. Ciekawie również ukazana zostaje tu krytyka wszelkich form wojny i przemocy. Poeta pisze bowiem, że *(...) haniebna jest polityka celowania rakietami / w jakiegokolwiek miast: Sztokholm czy Warszawę. / Warszawę, nasza stolica, / wiele wojen widziała / i pozostała niezwyciężona. Chodzi tu o to, że w dawnym znaczeniu w języku angielskim War-sow – to miasto wielu wojen.*

Opowiadając się za pokojem na całym świecie, odmawiając racji jakiegokolwiek wojnie, autor przypomina, że ziemie to wielkie, najczęściej anonimowe cmentarzysko bez krzyży, a następna wojna może zakończyć nasze życie na planecie. Dlatego najlepszą muzyką jest dla ludzi ciepła muzyka „własnego domu rodzinnego”.

prof. Ignacy S. Fiut



W kwestii winy

Wina to kwestia naszego sumienia, bo wiem rzeczy mają się tak, jak je widzimy. To starożytne odkrycie zawsze pozwalało na snucie domniemań i spostrzeżeń, które temu pojęciu nadawały różne oblicza i kolory. Stąd zawsze możliwa względność winy, a zatem jej autentyczna obecność lub jej brak. Jej rezonans, czyli wspomniane sumienie działa

tak samo w obu przypadkach, a gdy jest tylko wyobrażona, paradoksalnie by tak rzec, jeszcze mocniej. To właśnie działanie znakomicie przedstawił Michel de Montaigne: *Zdawało się* (podkreśl. J.O.) *biednemu człowiek, że poprzez jego maskę i krzyże na płaszczu może ktoś wyczytać aż w sercu jego tajemne intencje: tak cudowne jest działanie sumienia! Każę nam ono zdradzać, oskarżać samych siebie i w braku innego świadka ono świadczy przeciw nam.* Chyba nikt później nie ujął tego lepiej. Po czym pojawiają się dwa ważne spostrzeżenia: *Ktokolwiek oczekuje kary, cierpi ją; a ktokolwiek na nią zastąpił, oczekuje jej.*

Zanim jednak o tym. Wina, która nam się zdaje. Ileż ona potrafi przysporzyć nam bólu i jakże jest intensywna. Wydaje nam się coś, co nie miało miejsca, a jednak nam się wydaje, że miało lub – (mieć powinno?). Paradoks goni paradoks i udaje rację. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego czujemy się winni czegoś, czego nie zawinił? Montaigne pisze: *(...) ale istnieje w naszym wnętrzu jakoweś rozdwojenie, które sprawia, iż równocześnie nie wierzymy w to, w co wierzymy, i nie umiemy się wyzwolić z tego co potępiamy.* I tu, wydaje mi się, jest pies pogrzebany. Z natury każdy człowiek jest nastawiony na dobro niezależnie od tego co mówi i jak mówi. Może wręcz udawać wielkiego pesymistę i twierdzić, że tylko zło go otacza i sam się widzieć złym. Gdy jednak tylko znajdzie się ktoś, kto chciałby go z tej drogi zawrócić, będzie w rezultacie i w głębi swego serca oczekiwał zmiany. A zatem w istocie wierzy, tylko z tą wiarą nie potrafi sobie poradzić. Nie widzi drogi, a to na skutek własnego ego i – nieświadomości, choć tym bardziej mu się wydaje, że jest świadomy. Gdzie pojawia się, by tak rzec, ten punkt zapalny, który go tak właśnie obliguje? Łatwo go znaleźć i znajduje go również wspomniany wielki pesymista. To wypadki, zdarzenia, rzeczy, które się dzieją i które by się wydawało są, pisząc kolokwialnie, przeciw nam. A one w istocie wcale takie nie są, gdyż: *(...) rzeczy widzimy dlatego, że się dzieją, a nie dzieją się dlatego że je widzimy,* pisze Montaigne. To drgnienie postrzegania jest tu niebywale istotne. To co wokół wcale nie jest, ani dobre, ani złe, co wykazali już starożytni. Jak jednak to drgnienie, spowodować, aby było właśnie takie, było właściwe?

Tu, przede wszystkim, by trzeba porozmawiać z własnym ego. Odbyć z nim solidną rozmowę i podjąć decyzję. Czy nadal będę walczył z wiatrakami, czy też może zdecydować się inaczej. Czy nadal, w moich własnych oczach, odpowiada mi status biernego, czy czynnego (to tu nieistotne) wojownika, który myśli że wygra, czy też podejmę drogę zupełnie inną? Jaką? *Będąc w niebezpieczeństwie* (bo przecież o takiej sytuacji tu piszę – przyp. J.O.), *nie tyle myślę o tym, jak go uniknę, ile o tym, jak mało znaczącą jest rzeczą, abym go uniknął; gdybym w nim i został, cóż by takiego się stało?* (podkreśl. J.O.) I teraz najistotniejsze: *Nie mogąc kierować wypadkami, kieruję samym sobą; stosuję się do nich, skoro one nie chcą stosować się do mnie.*

(Dokończenie na stronie 22)

Filozofia codziennosci

prof. Marii
Szyszkowskiej (153)



Fot. Andrzej Dębowski

Dystans między mistrzem a uczniem – by odwołać się do innego przykładu – jest natomiast sensowny. Podobnie pozytywne skutki przynosi dystans między przywódcą politycznym a członkami jego partii. Opiera się o uzasadniony respekt i nadaje wysiłkom członków partii jednoznaczny kierunek.

Dystans bywa też świadomie wytwarzany przez kogoś, kto nie wierzy w odzew swoich uczuć.

Stanem przeciwnym do dystansu jest zaangażowanie. Może ono dotyczyć rozmaitych spraw, jak i stosunku do drugiego człowieka.

Wytwarzanie dystansu wiąże się nie tylko z kultywowaniem określonych form, o czym napisałam. Sposób ubierania się również może narzucać granice trudne do przekroczenia. Mam na myśli kapelusze, rękawiczki, wytworne garnitury, smoking. Formę samoobrony przed światem stwarza na przykład peleryna, która zresztą przed laty była powszechnie noszona. Dodam, że peleryna daje mi poczucie bezpieczeństwa. Owijam się w nią, odgradząc od tego, co zbyt pospolite. Wytwarza też nastrój pewnej tajemniczości. Daje mi złudzenie, że staję się mniej dostępna dla nieprzyjaznych spojrzeń i fluidów.

Jedną z metod prowadzących do wydobycia z siebie tego, co w nas autentyczne, ale ukrywane, spychane do podświadomości, ograniczane dystansem, jest psychodrama. Ułatwia odważne ujawnianie tego, co skrywamy, powodowani świadomością tego, że odstawiamy od otoczenia.

Na każdym z nas ciąży nakaz – z którym stykamy się wzrastając w domu rodzinnym – by przystosowywać się do innych. Powstają więc trudności, by odkrywać autentyczne pragnienia, zwłaszcza, że ciśnie na nas świat mediów określający jakie pragnienia i poglądy powinno się mieć. Ponadto są pewne obyczaje i sposoby wartościowania przekazywane z pokolenia na pokolenie i nie zawsze łatwo otwarcie uznać, że one do nas nie przemawiają. Wielu z nas bezmyślnie, bezkrytycznie ulega czymś poglądom.

Obłuda i zakłamanie dochodzą do głosu w życiu niejednego człowieka, podobnie jak interesowność i wygnośnictwo. Zakłamanie, to

odchodzenie od własnych poglądów uznanych przez siebie za prawdziwe. Profesor medycyny Kazimierz Dąbrowski nakłania w swoich dziełach do postawy pozytywnego nieprzystosowania do świata. Jest to mądry i odważny drogowskaz i zarazem przeciwwaga dla zakłamania. Jego zdaniem, jedynie trzy przypadki nieprzystosowania można oceniać jako wyraz negatywnego nieprzystosowania do świata. Ten odkrywczy pogląd K. Dąbrowskiego nie ma w sobie nic z moralizatorstwa. Otóż przejawami negatywnego nieprzystosowania do otoczenia jest alkoholizm, narkomania oraz lekomania, jak również droga przestępstw. Pozostałe przejawy nieprzystosowania uznaje ten uczony za wyraz pozytywnego poszukiwania własnej hierarchii wartości oraz drogi życiowej. Droga pozytywnego nieprzystosowania wolna jest od zakłamania, ale skazuje często na skłócenie z otoczeniem, a nawet odrzucenie. Jednakże trzeba pamiętać, że rzadko zdarza się, by większość miała rację. A ponadto nie ma postawy bardziej nagannej niż udawanie poglądów.

Henryk Ibsen genialnie kreśli w swoich dramatach znaczenie prawdy w życiu człowieka i w relacjach międzyludzkich. Mądrość tego pisarza skłoniła go, by zarazem ukazać to, że nie każdy ma siłę psychiczną pozwalającą na istnienie, gdy zabierze mu się fałsz jego życia w który uwierzył. Zaiste trzeba charakteryzować się dużą odpornością, by znieść opadanie złudzeń uznawanych za prawdę.

Sugerowany jest nam obecnie model nowoczesnego człowieka. Ma być zanurzony w codziennych problemach i zakupach. Nie poświęca czasu na kształtowanie własnego poglądu na świat, dostosowuje się do tego, co powszechne. Jeżeli czasem myśli lub czuje inaczej niż ogół, to ma zatajać, by nie odstawać od innych.

Stan zakłamania wyraża się w tym, że nie zachowujemy się zgodnie z naszymi przekonaniami, udajemy poglądy odmienne od tych, do których publicznie się przynajmujemy. Głoszenie prawd dobrze widzianych w określonym czasie i miejscu jest częste w naszym społeczeństwie. Zdarza się, że moralisci wytykający wady innym, sami bywają sadystami w domu rodzinnym. Zacznie domowe dozwala na wszystko. Na zewnątrz wielu z nas prezentuje się jako wzór rozmaitych cnót. Dzieje się tak dlatego, że zależy im na wspaniałym wizerunku siebie w oczach innych. Taki rodzaj gry mający na celu aprobatę siebie przez innych, odstawia znacząco od właściwej troski, która powinna prowadzić do aprobowania siebie przez siebie. Innym przykładem zakłamania niech będą pseudomoralisci, którzy oburzają się na publiczne przejawy erotyzmu i na taki charakter bilbordów – a po cichu, w zaciszu domowym, oglądają pisma pornograficzne.

Ludzie zakłamanii bywają z reguły aprobowani przez innych, bo nie odstawiają od środowiska w którym funkcjonują. Miłe słowa, komplementy przychodzą im z łatwością. Ale wątpliwa jest wartość relacji z nimi, bo często zawodzi.

Dystans wiąże się z kultywowaniem pięknych form lub form będących wyrazem dobrego wychowania.

Nie lubię zdawkowych życzeń, które dominują wśród składanych z okazji imienin, czy

świąt. Nie lubię stereotypowych zapytań o zdrowie. Nie lubię zdawkowych powitań i pożegnań, a szczególnie słowami „miłego dnia”, które od niedawna zagnieździły się bez sensu w polskim języku.

Stereotypowe sformułowania uwalniają od wysiłku prób pokonywania dystansu. Nie nadają relacji z drugim człowiekiem charakteru indywidualizowanego. One nie angażują. Powierzchnowe związki są wygodne, ale nie inspirujące. Wygodne, bo do niczego nie zobowiązują. Nie angażują emocjonalnie. A więc nie pochłaniają naszej uwagi i energii.

Wyznam, że przestałam wysyłać karty z życzeniami świątecznymi, co zapewne nie jest właściwe. Złożyło się na tę decyzję nadmierne nasycenie mojego życia pracą i działaniami wykraczającymi poza obszar obowiązków akademickich. Ale nie miały wpływ na to zaniechanie ma uświadomienie sobie, że jest to w istocie pusta forma. Otóż wysyła się życzenia tym, którym wypada i tym od których jesteśmy uzależnieni. Jeśli wiążą nas bliskie i szczere, serdeczne więzi, to życzenia są tylko formą potwierdzenia tego. Po otrzymaniu karty z życzeniami z reguły nie wzmagają się kontakty wzajemne. Znowu trzeba czekać na kolejne święta.

Pustą formą bywają też obietnice poprawy, które zwaśnione pary – bywa – że deklarują składając sobie życzenia. Znacznie gorzej, jeśli pustą formą stają się obietnice składane samemu sobie. Rodzi się wtedy niezadowolone z siebie, jeżeli nie staramy się im sprostać.

Pustą, ale miłą grzecznościową formą jest okazywanie radości przy rozpakowywaniu otrzymanych prezentów mimo, że nam się nie podobają i wiemy, że wkrótce się ich pozbędziemy. Dziwi mnie obyczaj z którym się czasem spotykam, że ofiarobiorca prezentów nie rozpakowuje ich w obecności ofiarodawcy.

Przejęliśmy z Zachodu zwyczaj całowania pań w rękę nad dłonią. To całowanie powietrza zapewne jest higieniczne, ale u nas trudne do zaakceptowania. Dodam na marginesie, że feministki zrymają się nawet na taki rodzaj powitania, aczkolwiek zawiera się w nim dystans.

Ale pustą formą nie jest – lecz zniewalającą i nieelegancką – skłanianie gości do zdejmowania butów. Podłoga w mentalności pewnych warstw naszego społeczeństwa stanowi, jak się okazuje, wartość nadrzędną. Na marginesie dodam, że nie najlepiej świadczy o pani domu widok stojących w przedpokoju wielu par butów.

Przytoczę opowieść znajomych o nieudanym balu właśnie z powodu butów; otóż przyszli w oczekiwanych przez panią domu strojach balowych, ale wręczono im na progu ranne pantofle, które miały chronić lakierowaną podłogę.

Nie tylko pani, ale także pan w smokingu i rannych butach wyglądałby komicznie. Oczywiście zrezygnowali z balu. Uzasadniona jest dbałość o formę, a pantofle stanowią integralną część stroju.

cdn.

Maria Szyszkowska

W kwestii winy

(Dokończenie ze strony 20)

Czy poprzez ten scenariusz przegrywam ze światem? Pozornie tak. I tym samym takie staje się moje doświadczenie (pozorne), które uczy, że brak jest jakichkolwiek przesłanek bym uniknął cierpienia. I prowadzi mnie do pesymizmu a w konsekwencji i zgnuszenia, które nic innego nie mówi, a tylko, że tylko moja racja się liczy? Co to za postawa? Co to za upór? Maniactwo wszak nam nie przystoi. Piszę to jako poeta w sile wieku, który przez dziesiątki lat borykał się ze światem. Gdybym wcześniej czytał Montaigne'a. Tylko nie wiem, czy bym go zrozumiał. Stare powiedzenie mówi: wszystko ma swój czas.

Chcę wiedzieć co możliwe o nie zawinio-nej winie. Chcę wiedzieć o życiu mojego sumienia. Wina, która nam się zdaje. Dlaczego się pojawia i dlaczego tak boli?

Jej znakomitą, moim zdaniem, definicję cytowałem wcześniej. Z tym świetnym jej reflekssem, czyli sumieniem. Warto ją powtórzyć: *Zdawało się biednemu człowiekowi, że poprzez jego maskę i krzyże na płaszczu może ktoś wyczytać aż w sercu jego tajemne intencje: tak cudowne jest działanie sumienia! Każde nam ono zdradzać, oskarżać samych siebie i w braku innego świadka ono świadczy przeciw nam.* To fakt. To teza. I nie tyle chodzi o udowodnienie jej, bo ona sama się udowadnia, jest swego rodzaju aksjomatem, ile co z tej konstatacji wynika. To słowa: *Ktokolwiek oczekuje kary, cierpi ją; a ktokolwiek na nią zasłużył, oczekuje jej*, które również cytowałem wcześniej. Niczym nie uzasadniona wina objawia się właśnie ciągłym oczekiwaniem kary, wręcz szukaniem jej, powoduje ból i cierpienie; natomiast wina faktyczna nie tworzy takich emocji. Jest paradoksalnie poniekąd czymś przeciwnym. Wiemy, że w sposób nie budzący wątpliwości zawiniliśmy i tylko, i wyłącznie oczekujemy kary, która nam się należy. Różnica polega na tym, że w pierwszym przypadku wszystko rozgrywa się w sferze wyobrażeń, a w drugim dzieje się w rzeczywistości. Tam rozgrywka opowiada nasze emocje i również umysł, tu emocje i umysł dotyczące winy w istocie nie mają już nic do powiedzenia, bowiem wina jest niepodważalna. Pozostaje tylko oczekiwanie na karę. Można jedynie wyrazić żal, że się dany postępek popełniło. I tu to jest tylko kwestią naszego sumienia. Ta kara, w tym przypadku, może się pojawić, ale nie musi. To zależy od tego, czy mamy do czynienia z sytuacją prawną, czy też czysto moralną. Niezależnie od tego jaka sytuacja się pojawi sumienie zawsze będzie świadczyć jedno. Będzie mówić. O prawie nie będę się wypowiadał, bo nie mam o tym zielonego pojęcia. Kwestię moralną, w zasadzie już przedstawiłem. Jest tylko możliwy żal, że tak właśnie a nie inaczej się stało. Jest skrusza i na dobrą sprawę nic innego nie możemy zrobić. Żadne, moim zdaniem, zadość uczynienie nie ma tak właściwie znaczenia. Wszelkie działania będą to w gruncie rzeczy maski, które by winę miały odkupić. Bo cały ten ambaras

znajduje się teraz po stronie wobec której wina została popełniona. Odpuszczenie winy i spokój jej, również – tu tak to napiszę – sumienia. Dla niektórych to stwierdzenie może wydawać się śmieszne i nie na miejscu. Tym niemniej uważam, że tak dzieje się prawda.

Pozwolę sobie teraz zauważyć rzecz hipotetyczną i która z braku możliwości wykazania (ogrom zjawiska jest zbyt duży) taką pozostanie. Te winy, te zadziory wciąż tkwiące w nas, ten brak rozmowy z własnym ego, powodują że te winy nie ulegają resetowi. Są i wirują wciąż w przestrzeni, przemieszczają się w sposób nie do zidentyfikowania i nic innego nie możemy o nich powiedzieć. Są, dzieją się w potencjalnych, kinetycznych możliwościach zapłodnienia swą obecnością jak złe owady zapładniające złe kwiaty; bo przez ofiary win nie zostały owe winy przebaczone i w sensie ludzkim odpuszczone: One wędrują w przestrzeni ludzkiej jak insekty, niesforne owady i nie wiadomo kiedy i jak, które ciebie będą dotyczyć. Do którego ciała jak nieznosny komar, czy inne dla nas niesforne stworzenie przylgnie. Jesteśmy tego zupełnie nieświadomi, bowiem to zawsze dzieje się poza nami. Stąd też wina, jako taka, albo ta której jesteśmy wręcz ofiarą, przylgnie do nas jakby była naszą. Tak, to jest możliwe. Czyż nie? Czy czasem tak nam się nie zdaje?

Ot i cała filozofia o winie, która nam się zdaje. Pocucie winy, chociaż winy brak. To o cierpienie i ten ból. Dobraś się do nas ten komar, albo jego kolega tej maści. One nie patrzą na naszą świadomość, na prawdę, one by tak rzec w sposób naturalny, biologiczny rzec można, tylko się domagają...

A my? A my nie możemy im sprostać. Nie możemy, bo nie wiemy co i jak. Nie możemy wyrazić żalu, czy wyrazić skruchy z powodu popełnionego czynu, bo winy nie ma. Ale rzecz jest i nie mogąc działać się w rzeczywistości, dzieje się w naszej w naszych wyobrażeniach. Stąd cierpi i boli.

Cóż nam to przypomina. Ano nic innego jak tylko zerwanie owocu w Raju. Pierwsza wina, pierwszy grzech, my jako tego konsekwencja. Cierpimy, bowiem Grzech Pierwotny się pojawił. Nastąpiło oddzielenie się duszy od ciała, jak moim zdaniem, znakomicie tłumaczy ten problem ewangelia św. Filipa. Pisałem o tym przedstawieniu w jednym z esejów. Przypomnę najprościej: powstał Grzech na skutek właśnie takiego oddzielenia, a Adam i Ewa to symbole ciała i duszy. Gdyby nie ów rozdział, nie byłoby winy. Gdyby, by tak rzec, każda ofiara winy nie powodowała w sobie tego oddzielenia i gdyby każdy sprawca tego też nie czynił, problem by nie istniał.

Dlaczego tak? Sprawa jest niebywale prosta. Ta pierwsza persona (zgodnie z biblijnym wyobrażeniem) będąc pełnią duszy i ciała na sposób ludzki odpuściłaby winę, natomiast ta druga by się jej po prostu nie dopuściła. Zawiodło, by tak powiedzieć, to rozdzielenie się powstało. Dlaczego się pojawiło? Ano dlatego, że pierwsza uległa impulsowi, ciekawości, podejrzywam. Ten impuls to sprawka złego, węża zgodnie z wyobrażeniem. Druga natomiast, czyli właśnie problem odpuszczenia, już musiało się wiązać

choćby ze znikomym zastanowieniem, które nie nastąpiło. I powstała wina. Nie pojawił się równie nagle obraz, który by mówił – nie. Mówiąc wprost, Adam nie zaprzeczył Ewie. Przylgnął do winy, która nie była jego. I dopiero jako ich jedność nastąpiło oddzielenie duszy od ciała.

Wina zatem i jej wyniki nie mogą być kwestią – kto. Niby pojawia się Ewa, jako pierwsza, jej ciekawość, ale też Adam nie musiał. Dusza polegając na emocjach i Ciało mówiąc racjonalnie.

Stąd też my możemy oddzielać to co jest faktycznie naszą winą, od tego co tylko jej wyobrażeniem. Z pomocą przychodzi nam tu ten znakomity myśliciel Montaigne. Powtórzę to po raz trzeci: *Ktokolwiek oczekuje kary cierpi ją; a ktokolwiek na nią zasłużył, oczekuje jej.*

Nie możemy w życiu codziennym kierować się winą, która z natury wyżej przedstawionej cierpi kary. A to z tego prostego powodu, że to nie pozwoli nam widzieć świat inaczej jak poprzez tę ogólnoludzką winę. Wygnanie z Raju nie po to miało miejsce, aby pognać człowieka, ale po to aby temu pogębieniu mógł się on przeciwstawić, skoro tak mądrzy byli symboliczni Adam i Ewa (czyli dusza i ciało), że im tam w jedność tych dwojga, życie nie odpowiadało, pisząc sarkastycznie. Nie możemy oddzielać duszy od ciała i przeczyć tym samym lapidarnemu i staremu stwierdzeniu, które mi się teraz nasuwa: nie chciej mieć lepszego niż masz. Powiem więcej: wtedy ono samo przyjdzie. Nie wyobrażam sobie bowiem, aby Bóg nie pozostawił furtki. Byłby przeciw sobie. Bo jak to pomyśleć inaczej. Że skapitułował? Nie wyszło, owszem. Albo, że z tego Raj nic? Nie sądzę.

On wie, że do szczęścia są konieczne pewne warunki, których nie sposób pominąć. Wysłał na tułaczkę, ale i z pewnym pomysłem. Tylko trzeba to zauważyć. A to jedynie jest możliwe w jedności duszy i ciała. Gdy to ma miejsce ofiara winy ma w sobie się odpuszczenia, a sprawca nie będzie nim. A jeśli nawet chwilowo ulegnie wężowi oparcie ofiary jest tu niebywale istotne. Jeszcze tylko musi sam sobie przebaczyć i będzie to łatwiejsze, gdy zrozumie, że innej drogi nie ma. To znaczy jest, lecz będzie tworzyć coraz bardziej narastającą pętlę radującą się z tego winy. Wąż z dnia na dzień bardziej syty i zadowolony.

Pomyślmy tylko. Tak nie czuć żadnych animozji w stosunku do kogokolwiek. Przecież wtedy wina nie ma możliwości pojawiania się. Jakże wtedy dobrze by się można czuć. Raj na ziemi, by można powiedzieć. Ale w rzeczywistości dzieje się inaczej. Tylko zobacz, że to nie jest wina tych innych, tylko twoja. Dlaczego moja można by się obruszyć? Ano z prostej przyczyny naszego rozumowania. Skoro ja nic innemu, to dlaczego on mnie? Takie zazwyczaj dzieje się myślenie. A tak nie czuć żadnych animozji w stosunku do kogokolwiek. Czy ta pętla ci się podoba? Pomyślmy tylko.

Janusz Orlikowski

POEZJA

Marzena Jaworska, *Historie sieroce*. Fotografie na okładce: Marzena Jaworska. Seria *Kontrapunkt*. Młodzieżowy Ośrodek Pracy Twórczej, Dąbrowa Górnicza 2019, s. 22. [bez ISBN]

Magdalena Kicińska, *Środki transportu*. Projekt okładki i stron tytułowych: Urszula Gireń. Zdjęcie na okładce: Paweł Zoneff / EyEm / Getty Images. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019, s. 72.

Janusz Adam Kobierski, *Pole widzenia*. Opracowanie graficzne: Barbara Kuropejska-Przybyszewska. Fotografia na okładce: Elżbieta Lempp. Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, Warszawa 2019, s. 78.

Wiesław Kulikowski, *Biegająca za mną*. Pod wiatr. Posłowie: Michał Piętniewicz. Projekt graficzny: Magda Dębicka. Na okładce wykorzystano obraz Edwarda Kocińskiego *Widziana w deszczu*. Portret autora na IV stronie okładki: Achim Sznurawa na podstawie fotografii Edwarda Michockiego. *Krakowska Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich*, tom 36. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Kraków, Kraków 2018, s. 76.

Urszula Michalak, *Prawie przedwieczór*. Przedmowa: Wojciech Kaliszewski. Wiersze na płycie czyta Anna Dymna. Muzyka: Wojciech Kilar. Związek Literatów Polskich Oddział w Lublinie, Lublin 2019, s. 106 + CD.

Piotr Mitzner, *Siostra*. Projekt okładki i stron tytułowych: Lech Robakiewicz. Zdjęcie na okładce i portret autora: Magdalena Chabiera. TCHU Dom Wydawniczy, Warszawa 2019, s. 82.

Lesław Nowara, *Ciemna strona światła*. Wybór wierszy. Opracowanie graficzne: Marek J. Piwko. „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2019, s. 148.

Cristina Peri Rossi, *Wiersze wybrane / Poemas elegidos*. Wybór i przekład: Magdalena Szkwarek. Projekt okładki i obraz na okładce: Małgorzata Kózek. Wydawnictwo ARMAGRAF, Krosno 2019, s. 62.

Jan Polkowski, *Rozmowy z Różewiczem*. Grafiki i rysunki: Grzegorz Bednarski. Posłowie: Józef Maria Ruszar. Projekt okładki: Paweł Górny. Obraz na okładce: Grzegorz Bednarski, *Poruszenie z figurą ekstatyczną (obraz z muszlą)*, 1995. *Biblioteka „Napisu”*. Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków-Warszawa 2018, s. 96.

Bogdan Prejs, *Nic więcej*. Zdjęcia: Bronisław Prejs, Bogdan Prejs. Projekt okładki i stron tytułowych: Jakub Rakusa-Suszczewski, Anna Matysiak. Seria *Tangere*. CONVIVO Anna Matysiak, Warszawa 2018, s. 60.

Małgorzata Skalfania, *Skruchowi*. Opracowanie graficzne: Małgorzata Rybicka. Lublin 2018. Strony nienumerowane.

Ks. Jan Sochoń, *Brewiarz celnika*. Portret autora na IV stronie okładki: Michał Góral. Pozostałe zdjęcia: Jan Sochoń. *Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”*, tom 164. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2019, s. 104.

Jan Sochoń, *Modlitwa do ciszy. Wybór wierszy*. Wybór i posłowie: Jarosław Jakubowski. Obrazy: Jan Kajka, linoryty: Jacek Soliński. Projekt: Jan Kajka, Jacek Soliński. Fotografia autora: Michał Góral. Galeria Autorska, Bydgoszcz 2019, s. 304.

Konrad Sutarski, *Stacje ludzkiego sprzeciwu*. Projekt okładki: Anna Banyay i Barnabas Szita z wykorzystaniem dzieła malarskiego Grzegorza Steca. Magyar Napló, Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent” Budapeszt-Lublin, 2018, s. 126.

Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska, *Kragg ochronny*. Projekt okładki i koncepcji graficznej: Piotr Jakubowicz. Biblioteka Kraków, Kraków 2018, s. 80.

PROZA

Mirosław Osowski, *Wilki morskie na lądzie*. *Opowiadania i humoreski*. Projekt okładki: Edyta Lisek. Wydano nakładem własnym, Stalowa Wola 2019, s. 160.

Joanna Sendlak, *Atotsi*. Projekt okładki: FSL. Na okładce i wewnątrz wykorzystano prace graficzne: Joanny Sendlak. Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2019, s. 172.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Benjamin Balint, *Ostatni proces Kafki*. Przełożył: Krzysztof Kurek. Projekt okładki: Ula Pągowska. Opracowanie graficzne: Maciej Trzebiecki. Wydawnictwo Agora, Warszawa 2019, s. 352.

Józef Czapski, *Listy o malarstwie*. Pod redakcją Mateusza M. Bieczyńskiego i Janusza Marciniaka. Projekt graficzny i typograficzny: Piotr Marzol. Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu, Poznań 2019, s. 80.

Justyna Dąbrowska, *Miłość jest warta starania*. *Rozmowy z mistrzami*. Projekt graficzny okładki: Krzysztof Rychter. Fotografie: Mikołaj Grynberg. Wydawnictwo Agora, Warszawa 2019, s. 392.

Artur Dudziński, *Dyptyk wschodni*. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2018, s. 64.

[Jerzy Grzegorzewski], *Niejaki Piórko według Henri Michaux 1963*. *Czarodziejska góra według Thomasa Manna 2005*. Na okładce notatki Jerzego Grzegorzewskiego do *Czarodziejskiej góry*, 2005. Projekt typograficzny, opracowanie graficzne: Janusz Górski. Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego, Warszawa 2018, s. 140.

Michał Jagiełło, *Walenie w górach*. *Wypadki i akcje ratunkowe w Tatrach*. Opracowanie graficzne: Andrzej Barecki, Janusz Barecki. Zdjęcie autora na obwolutie: Robert Janik. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2019, s. 964.

Eric Karpeles, *Prawie nic*. Józef Czapski. *Biografia malarza*. Przełożył: Marek Fedyszak. Okładka według projektu: Erica Karpelesa. Na okładce wykorzystano obraz *Autoportret z żarówką*, 1958,

ze zbiorów Michała Popieł de Boisgelin. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2019, s. 550 + fotografie obrazów.

Joanna Krakowska, *Demokracja. Przedstawienia*. Opracowanie graficzne: Grzegorz Laszuk. Na okładce: Agnieszka Kwietniewska w spektaklu *Niech żyje wojna!!!* w Teatrze Dramatycznym im. Jerzego Szaniawskiego w Wałbrzychu, fotografia Tomasz Józefowicz. Seria *Teatr Publiczny. Przedstawienia 1765-2015*. Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego, Instytut Sztuki PAN, Warszawa 2019, s. 496, w tym zdjęcia.

Myśl Myśliwskiego (studia i eseje). Pod redakcją Józefa Olejniczaka przy współudziale Marzeny Bonieckiej i Piotra Zajęca. Na okładce wykorzystano obraz, a na stronie 325 szkic do portretu Wiesława Myśliwskiego autorstwa Stanisława Baja. Projekt okładki: Kamila Szwarc. Seria *Historia Literatury Polskiej*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2018, s. 340.

Polski redaktor i węgierski polonista. Korespondencja Jerzego Giedroycia i Gyorgya (George'a) Gómorego, 1955-2000. Opracowanie: Gabor Lagzi. Opracowanie graficzne i projekt okładki: Karol Górski. Ilustracja na okładce ze zbiorów Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte oraz archiwum prywatnego Gyorgya Gómorego. Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2018, s. 266.

Punkty zwrotne / Turningpoints. Projekt artystyczny: Łukasz Aksamit. OsnoVa, Warszawa 2019, s. 264.

Anna Romaniuk, *Orzeszkowo 14*. *Historie z Podlasia*. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka. Projekt typograficzny: Robert Oleś / dzd.pl. Fotografia na okładce: Krzysztof Chojnacki / East News. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2019, s. 160.

Janusz Rudnicki, *Życiorys 3*. Opracowanie graficzne: Andrzej Barecki. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2018, s. 312.

Katarina Šalamun Biedrzycka, *Wśród słowniśskich i polskich autorów. Rozprawy i artykuły*. Posłowie: Krzysztof Biedrzycki. Projekt graficzny serii: Magda Dębicka. Na okładce wykorzystano obraz Andrzeja Salamuna *Itaka*, 1996. Zdjęcie autorki na IV stronie okładki: Wojciech Biedrzycki. *Krakowska Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich*, tom 37. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Kraków, Kraków 2018, s. 448.

Czesław Mirosław Szczepaniak, *Felietony przebrane*. Projekt okładki: Paweł Piotr Szczepaniak. Opracowanie typograficzne: Alfred Kohn. Gminny Ośrodek Kultury w Tarcynie, Tarczyn 2019, s. 148.

Janusz Termer, *Myślenie literatury. Eseje, szkice, wspomnienia...*. Projekt okładki zespół redakcji „Res Humana”. Opracowanie graficzne: Jolanta Ostrowska. Redakcja „Res Humana” Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego, Warszawa 2019, s. 240.

Wiktor Woroszyński, *Dzienniki 1988-1996*. Tom 3. Posłowie: Beata Pawletko. Opracowanie graficzne serii Rzeczyobrazkowe. Zdjęcie na okładce: Charles Sawyer. Seria *Świadczenia XX wiek*. Ośrodek KARTA, Warszawa 2019, s. 720.

Wiosna Poezji znowu za rok

23 czerwca oddział szczeciński Związku Literatów Polskich zakończył projekt pod hasłem *Szczecińska i Zachodniopomorska Wiosna Poezji*. Finał czwartej edycji wydarzenia odbył się w Ogrodzie Różanym. Na tę uroczystość szczecińscy poeci przygotowali koncert słowno-muzyczny zatytułowany „Szczecin, ty i ja to nuty i słowa”.

Jego punktem kulminacyjnym było ogłoszenie wyników IV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Józefa Bursewicz „O Złotą Metaforę”. Pierwszą nagrodę otrzymała Edyta Rozenfeld ze Świnoujścia, drugą – Małgorzata Hrycaj ze Szczecina, a trzecią – Teodozja Świdzka z Opola. Jury przyznało także wyróżnienia dla Anny Piliszewskiej z Wieliczki, Edyty Rauhut ze Szczecina i Magdaleny Cybulskiej z Łodzi. Uhonorowano jedenastu autorów wierszy zauważonych.

Program koncertu, autorstwa Zenona Lacha, opierał się na utworach literackich. Jedne były odczytane, a inne wyśpiewane. Wiersze laureatów konkursu zaprezentowali Ewa Sobczak, aktorka Teatru Współczesnego w Szczecinie i Jan Kamiński, laureat konkursów recytatorskich. Muzycznej interpretacji słowa pisanego podjął się zespół „The Red Black Sappers” 5. Pułku Inżynieryjnego w Szczecinie-Podjuchach pod kierownictwem Karoliny Dąbrowskiej. Zespół rockowy wykonał piosenki z własną muzyką i aranżacją do wierszy szczecińskich i zachodniopomorskich poetów. Ich występ był rozszerzony o wiązaną piosenkę wojskowych i popularnych muzyki rozrywkowej.



Fot: Janusz Słowik

**Zespół The Red Black Sappers,
wykonawcy i organizatorzy.**

Stronę muzyczną spotkania wypełnił także duet muzyków: Kinga Chmielewska, studentka V roku Wydziału Instrumentalnego Akademii Sztuki w Szczecinie i Grzegorz Uran, absolwent tej uczelni.

Koncertowi towarzyszyły ekspozycje plastyczne i fotograficzne. W pachnących alejach Różanki przygotowano wystawy: „20-lecie przystąpienia Polski do NATO”, wierszy –

laureatów konkursu poetyckiego, „Wiersze – Obrazy”, twórczości malarskiej Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego w Policach, Stowarzyszenia Artystycznego Integracji Europejskiej (SAIE) w Szczecinie, Zachodniopomorskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Szczecinie.

Na ogrodowej estradzie ogłoszono zwycięzcę Turnieju Jednego Wiersza, spotkania poetyckiego, które corocznie poprzedza finał *Wiosny Poezji*. Statuetkę tegorocznego turnieju zdobyła Krystyna Rodzewicz ze Szczecina.

Tradycją zakończenia wiosennego celebrowania poezji jest przyznanie przez szczeciński ZLP honorowego medalu Gloria Cultura osobie, która w wyjątkowy sposób popularyzuje literaturę i sztukę. W tym roku wyróżniono nim Ewę Sobczak.

Finał *Wiosny Poezji* to wydarzenie doceniane przez Wydział Kultury Urzędu Miasta Szczecina, Zarząd Morskich Portów Szczecin – Świnoujście S.A., Stowarzyszenie Rozwoju i Edukacji „Lider”, Infra Port sp. z o.o. Podmioty te finansują i sponsorują przedsięwzięcia szczecińskiego ZLP. Ważnym wsparciem dla działalności stowarzyszenia jest Klub 12 Dywizji Zmechanizowanej w Szczecinie i jego Oddział Wojskowy PTTK im. ppor. Ryszarda Kuleszy, którzy corocznie uczestniczą w organizowaniu koncertu na Różance.

„Do zobaczenia za rok!” – tymi słowami Przemysław Walich, prowadzący spotkanie aktor Teatru Współczesnego w Szczecinie, pożegnał publiczność. Było to jednocześnie zaproszenie na kolejny, jubileuszowy koncert.

Do zobaczenia w przyszłym roku, roku jubileuszy: 5-lecia poetyckiej wiosny, 70-lecia utworzenia Związku Literatów Polskich Oddział w Szczecinie oraz 100-lecia ZLP (Związku Zawodowego Literatów Polskich, założonego z inicjatywą Stefana Żeromskiego). Czekaj nas duże wyzwanie zarówno pod względem kreatywnym i organizacyjnym. Niech zatem nieustannie otacza nasze serca i myśli wiosna poezji, czego Państwu i wszystkim literatom życzę – powiedział Leszek Dembek, prezes oddziału ZLP w Szczecinie.

Danuta Sepuco

Złota Róża dla Elizy Segiet

Po raz szósty Kapituła Nagrody Literackiej im. Jarosława Zielińskiego (przewodniczący Aleksander Nawrocki) zmierzyła się z przesłanymi jej tomikami poetyckimi, by nagrodzić najciekawszy tom wierszy wyda-

nych w 2018 roku. Nie zabrakło też własnej inwencji związanej z poszukiwaniem nowych lektur w przyjaznych członkom Kapituły księgarniach i bibliotekach. Czy był to rok gorszy od ubiegłego, jeśli chodzi o obfitość i poziom literacki książek branych pod uwagę do nagrody? Trudno to ocenić. W każdym razie zapoznanie się z kilkudziesięcioma tomikami to duże przeżycie, to cała paleta twórczych indywidualności, języka, czy kreacji. To nas cieszy, a smuci jedynie fakt, iż tylko jednego twórcę możemy nagrodzić.

Do ścisłej czołówki poetów, którzy znaleźli uznanie członków Kapituły należeli: Dawid Jung (autor tomu *Karaoke*), Justyna Paluch (*Infalia*), Hanna Dikta (*Awantury nie będzie*), Marcin Badura (*Szare mydło. Biały jeleń*), Eliza Segiet (*Magnetyczni*), Marcin Jurzysta (*Chata-morgana*) i Jan Rojewski (*Ikonoklazm*).

Po dyskusji zakończonej jawnym głosowaniem laureatką Nagrody Literackiej im. Jarosława Zielińskiego Złota Róża za rok 2018 została Eliza Segiet, autorka tomu *Magnetyczni*. Utwory zamieszczone w tym zbiorze to jeszcze jedna bolesna rozprawa z grozą II wojny światowej, próba zgłębienia Holocaustu i tego wszystkiego, co się z nim wiąże. Należy docenić odwagę młodej poetki, iż zdecydowała się podjąć tak zdawałoby się wyeksploatowany we współczesnej literaturze temat. Kapituła doceniła i jej odwagę, i dobry poziom artystyczny wierszy. To utwory pozornie proste, ale łatwo dostrzec w nich tzw. drugie dno, oryginalne refleksje poszerzające wiedzę czytelnika o latach wojny, każdej wojny. Również łatwo zauważyć uniwersalność jej przesłania, dotarcie poprzez liryczne obrazy jakby do dna ludzkiego bytu, które uratować od zagłady człowieczeństwa mogła tylko wierność, miłość i przyjaźń. To mocno akcentuje poetka, to wchodzi w zakres jej kodeksu moralnego. Nie brakuje jej współczucia dla wojennych braci i sióstr, których dotknęła przemoc niemieckiego najeźdźcy. To jej niezniszczalne prawo do przypominania, do pamiętania, do kultuwacji słów: „Jeśli my zapomnimy o nich – niech Bóg zapomni o nas”. Zdaniem poetki, w każdym ponizonym należy zobaczyć Człowieka, który ma prawo do życia, do założenia rodziny i do szczęścia. Zwłaszcza młodzi czytelnicy powinni zapoznać się z tym tomem wierszy, którego przesłanie brzmi: nadzieja umiera ostatnia.

Eliza Segiet opublikowała dotąd kilka życzliwie przyjętych tomików poetyckich, publikuje w prasie literackiej. Zdobyla też liczne nagrody literackie, w tym międzynarodowe.

Stypendystami Fundacji ARKONA na rok szkolny 2019/2020 zostali Ignacy Krzemieński-Iwan i Ines Leliwa.

Uroczystość wręczenia Złotej Róży, dyplomów oraz stypendiów odbędzie się we wrześniu br. w Ursynotece-Muzeum przy ul. Barwnej 8 w Warszawie, o czym zainteresowani zostaną powiadomieni.

Gazeta Kulturalna
Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski.**

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Małgorzata Dębowska, Anna Dominiak, prof. Igancy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.